

ZDİRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II.

LUBLIN, 15 STYCZNIA 1946 R.

Nr 2

Cz. JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

Niemcy bez maski

„Wydawać by się mogło — pisze Wojciech Kętrzyński w tygodniku „Dziś i Jutro” — że naród niemiecki poniósł w tej wojnie zasadniczą klęskę — że raz na zawsze unicestwione zostały jego imperialistyczne dążenia. Wydawać by się mogło, że narody, zagrożone dotychczas niemieckim imperializmem, nareszcie mogą odetchnąć spokojnie. A jednak fakty temu przeczą. Coraz to częściej spotyka się w prasie zarówno naszej jak i obcej, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie — wzmianki o możliwościach nowej agresji niemieckiej”.

„...Wiemy dobrze z naszej przeszłości, czym grozi perspektywa odbudowania silnych Niemiec w jakiegokolwiek strukturze Europy. Grozi nieuchronnym konfliktem polsko-niemieckim...”

„Problem polsko-niemiecki streszcza się do zagadnienia walki Polski z niemieckim planem Mitteleuropą. Podstawę minimalnego planu niemieckiego stanowi teza, że wszystkie narody, znajdujące się pomiędzy blokiem wschodnim i zachodnio-europejskim, winny być podporządkowane narodowi niemieckiemu. Owa „pax germanica” pomiędzy Renem a Dnieprem, od morza Północnego co najmniej po Alpy — to właśnie Mitteleuropa”.

„Ponieważ takich wypowiedzi w prasie polskiej...”

„Mało jest takich wypowiedzi w prasie anglosaskiej. Ale jednak są. Tygodnik amerykański „Yank” publikuje listy od żołnierzy amerykańskich, okupujących obecnie Niemcy. Oto parę urywków z jednego takiego listu:

„Niemcy są bardzo urażeni, kiedy ty nie znajdziesz w sobie współczucia dla nich...”

„Musimy pamiętać o jednej rzeczy. Niemiec posiada bystry umysł, a teraz właśnie zaczyna wydobywać się z otumanienia, w którym pozostawał od miesięcy. Naloty się skończyły, wojska okupacyjne mają stałe kwatery. Obecnie chciałby, by ta okupacja była dlań najznośniejsza. Nie stara się pomóc nam w oczyszczeniu Niemiec od hitlerowców i zbrodniarzy wojennych...”

„Twoje kazania o demokracji trafiają na zamknięte uszy. Hitlera nie ma, ale Niemcy wierzą we wszystkie kłamstwa i oszczerstwa o Untermenschen — Rosjanach...”

„Są absolutnie niezdolni do pojęcia zasady moralnej i politycznej odpowiedzialności...”

„Bratanie się z Niemcami daje im sposobność, jakiej szukali. Nie myśl, że nauczysz pojedynczego Niemca demokracji. Gdyby jej rzeczywiście chciał, nauczyłby się jej sam. Zna jej zasady, ponieważ miał okazję do nauczania się ich po przedostatniej wojnie. On uznaje i rozumie tylko siłę i władzę. Weź go pod swoje kierownictwo, a będzie posłusznym Niemcem. Brataj się z nim — to już wkrótce zobaczysz, jak naprawdę chce być z nami zaprzyjaźniony...”

„Jak się Słowianie przedstawiali Niemcom oczom Hitlera?”

Jeden z prokuratorów amerykańskich z trybunału w odbywającym się obecnie procesie norymberskim, kapitan Samuel Harris, przedstawił memorandum niemieckie, ujawniające plan zniszczenia przemysłu rosyjskiego i przemiany Rosji na kraj chłopskich gospodarstw, żyjących Niemcy. Z memorandum wynika, że wszystkie okręgi przemysłowe ZSRR, łącznie z Moskwą i Leningradem, były uważane za „definitywne”. Dlatego postanowiono przerwać

wszelkie dostawy żywności do tych okęgów.

W numerze pierwszym nowego miesięcznika „Problemy” czytamy bardzo ciekawy artykuł Wacława Jastrzębowski p. t. „Niemiecka koncepcja gospodarki światowej”. Parę przytoczeń:

„Granice Wielkiej Europy i jej wewnętrzny statut graniczny uwidocznione są na mapce. Sytuację poszczególnych terytoriów najtrafniej da się ocenić wedle stopnia i formy ich zależności od Niemiec. Po pierwsze więc, terytoria wyodrębnione administracyjnie, jednak wchodzące w skład Rzeszy Wielkoniemieckiej, nie prowadzące żadnej samodzielnej polityki gospodarczej czy innej — i przeznaczone na zaludnienie przez Niemców już w niedalekiej przyszłości, są to: Generalna Gubernia, Protektorat Czech i Moraw, zapewne flamandryjskie części Belgii i Francji”.

„...Ponieważ projektowany przez Niemców ustrój gospodarstwa światowego... opierał się, jak na kamieniu węgielnym, na przywództwie Rzeszy Wielkoniemieckiej, przeto celem naczelnym wszystkich wewnętrznych form organizacyjnych być musiało zapewnienie, że owo przywództwo będzie mogło być wykonywane trwale i bez żadnych zakłóceń. Służąc temu miała przede wszystkim hegemonia polityczna Niemiec, oparta o ich bezwzględną przewagę militarną, umocnioną przez rozdrobnienie państw wasalnych”.

„...W niemieckiej koncepcji gospodarstwa światowego, a w szczególności Wielkiej Europy, elementem niezbędnym jest włączenie w ich terytorium etniczne, w granice samej Rzeszy Wielkoniemieckiej, wielkich terenów rolniczych. Znalezione je w Polsce t. j. na ziemiach przyłączonych do Rzeszy i w Generalnej Guberni, mającej iść na drugie danie. Możemy z tego czerpać wątpliwą przyjemność, że wysiedlenie nas do turkistańskiego „bastionu”, względnie na łono Abrahama, konieczne było dla zrealizowania władztwa niemieckiego nad światem. Ważniejszym jest, że w tym świetle pozbawienie Niemiec ich władzy rolniczej i ludnościowej w t. zw. „Ostelbien” t. j. w prowincjach na wschód od Łaby i zwłaszcza od Odry — redukuje przyszłe niemieckie szanse zaborcze w silniejszym stopniu, aniżeli pozbawienie ich przemysłu z prowincji zachodnich”.

Na nieszczęście, Słowianie rozmnażają się za szybko i są bardzo żywotni. Jakże temu złemu zaradzić?

„Remedium znalezione po pierwsze w obniżeniu przyrostu naturalnego wchodzących tu w grę narodów, a nawet w częściowym zlikwidowaniu ich obecnej ludności, po wtóre w pociągnięciu ich do pracy niewolniczej w Niemczech”.

W nader interesującej pracy Hermana Rauschninga, wydanej we Francji na początku wojny, p. t. „Hitler m'a dit”, zawarty jest cały rozdział p. t. „La politique de la dépopulation”, w którym wspomniano o ewentualności masowego mordowania ludzi, ponadto jednak wskazano inne, bardziej „humanitarne” metody depopulacyjne. Wszystkie były w toku wojny stosowane. Należy tu m. in. zakaz małżeństw poniżej wysoko określonej granicy wieku, koszarowanie pracowników połączone z oddzielaniem od siebie obu płci, propagowanie zabiegów antykrecyjnych, alkoholizmu, prostytucji, pornografii i t. p. Przewidywano też, że społeczeństwo, w którym utrwalone będzie poczucie niższości i niepew-

ności bytu, wykaże swoisty marazm biologiczny, podobny do tego, jaki powodował spadek urodzin w plemionach prymitywnych, stykających się z cywilizacją”.

...
Ale może to wszystko mówią tylko zaprzysiężeni wrogowie Niemiec? Może to właśnie Słowianie, udając niewinne baranki, w ciągu wieków tak dokuczali Germanom, że musieli w końcu wywołać ostrą reakcję?

Kilkanaście miesięcy temu upłynęło dwieście lat od dnia, w którym się urodził Johann Gottlieb Herder (1744—1803), wybitny niemiecki pisarz, myśliciel, religioznik, historyk, filozof, doskonały tłumacz poezji.

Wielkiej miłości do Słowian Herder nie żywił, ale przynajmniej starał się uczciwie o pewien obiektywizm, o historyczną prawdę; podówczas było to jeszcze modne nawet w nauce naszych zachodnich sąsiadów. Z pewnością zaciekawia naszych czytelników uwagi tego historyka o Słowianach. Wyławiamy je z obszernego jego dzieła p. t. „Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit” (Karlsruhe, 1792, tom IV, str. 30—40).

Oto te wyjątki w możliwie dosłownym przekładzie polskim:

„Narody słowiańskie zajmują więcej miejsca na ziemi, aniżeli w historii. Dzieje się to między innymi i z tego także powodu, iż żyły w większym oddaleniu od rzymskiego centrum cywilizacyjnego.

Spotykamy te narody najpierw nad Dunajem, później nad Dunajem — tam wśród Gotów, tu wśród Hunnów i Bułgarów, wspólnie z którymi niepokoiły częstokroć Imperium Rzymskie — a to przeważnie jako ludy towarzyszące, wspomagające lub służebne. Aczkolwiek tu i ówdzie Słowianie wykazali waleczność, nie byli oni nigdy narodami wojowniczymi i awanturczymi jak Niemcy. Posuwali się raczej, w cichości ducha, za tymi ostatnimi, zajmując spustoszone i splądrowane przez nich okolice i kraje, aż wreszcie objęli w swe posiadanie ogromną przestrzeń, sięgającą od Donu do Łaby i od morza Bałtyckiego aż po Adriatyckie.

Począwszy od Luneburga, poprzez Meklemburgię, Pomorze, Brandenburgię, Saksonię, Łuzację, Czechy, Morawy, Śląsk, Polskę, Rosję — ciągnęły się ich siedziby z jednej strony Karpat, po drugiej zaś stronie tego pasma górskiego, gdzie już dawniej osiedli byli na Wołoszech i w Moldawii, rozpościerali się teraz, dzięki licznej okolicznościom sprzyjającym, coraz dalej. Zostali wreszcie przyjęci przez cesarza Herakliusza w Dalmacji, gdzie stopniowo utworzyli królestwa Słoweńskie, Bośniackie, Serbskie, Dalmackie.

W Pannonii rozłożyli się tak samo, zajęli południowo-wschodni róg Niemiec, tak iż włości ich zamykały: Styria, Karyntia i Kraina. Jest to najrozleglejszy obszar ziemi, jaki w Europie do dziś dnia zamieszkuje jeden przeważnie szczep.

W tych wszystkich miejscach Słowianie się zadowolili, by ziemię, opuszczone przez inne narody, uprawiać i wyzyskiwać jako osadnicy, pasterze albo rolnicy. Pojawienie się tych ludów, jeśli się uwzględni ich cichy i pracowity tryb życia, stanowiło zatem — po uprzednich spustoszeniach, przemarszach i wyprawach wojennych — istne błogosławieństwo dla obranych przez nich krajów. Słowianie lubili rolnictwo, chów trzody, gromadzenie zboża, uprawiali też różne przemysły domowe i nawiązy-

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Z NOWYCH WIERSZY

*Jeszcze mi pachnie życia szlak,
Choć krew się kurzy — róża tchmie,
I nie chce się powiedzieć „nie!”
„Obłoczną górą płynie ptak”.*

*I jeszcze błyszczą staw i las,
I krew się burzy — róża lśni,
I jeszcze drzewo o czymś śni
Rękami wyciągnięte w czas.*

*I jeszcze wola: powróć, wróć!
I utkaj z trawy koszyk róż,
I jeszcze na horyzont zórz
Miedziane swoje surmy rzuć — — —*

Upita winem Hafisowym

Drży moja głowa.

Pomiędzy tańcem a muzyką

Są moje słowa.

Między płatkami tulipanów

Żaru płomyki

Kwiaty i ogień liżą

Czarnym językiem.

Może się użali nade mną

Mędrzec z Szyrazu,

Da dobrąć płomień z gitarą

I wyraz z wyrazem.

Julianowi Krzyżanowskiemu

*Opada czasem zwiędły kwiat,
Nadchodzi szara, zimna noc,
I w obojętnej śniegów mocy
Drżąc zagrzebanej wioski chaty.*

*Kwiaty basetli, skrzypiec brzęk
Leci od zwilgotniałych łąk,
I serce moje żalostnie bierze,
Mgliste przecucie ciemnej męki.*

*A radość rośnie pokrywom
I skrzydli ziemskich muzyk lot,
I rośnie przezroczystry, złoty,
Mój przyszły wieczny dom.*

wali, na podstawie produktów własnego kraju i dorobku, handel pożyteczny nie tylko dla nich samych, lecz i dla innych narodów.

Wzdłuż Bałtyku, począwszy od Lubeki, pobudowali miasta nadbrzeżne, pomiędzy którymi Wineta na wyspie Rugii była słowiańskim Amsterdamem. Utrzymywały pobratymstwo z Prusami, Kuronami i Łotyżami, jak wykazują języki tych narodów.

Nad Dnieprem pobudowali Kijów, w Rosji zaś środkowej Nowogród, które stały się wkrótce miastami o kwitnącym przemysle, łączącymi Morze Czarne z Bałtykiem. Dostarczali wytwory krajów wschodnich do Europy północnej i zachodniej.

W Niemczech Słowianie uprawiali górnictwo, znali się na topieniu i laniu metali, wydobywali sól, sporządzali płótno, sycili miód, sadzili drzewa owocowe i pedzili swoje, wesole i muzykalne życie. Byli życzliwi, łagodni, gościnni aż do rozrzutności, zamilowani w wiejskiej swobodzie, lecz potulni i posłuszni, wrodzy rozbojowi i łupieżstwu.

Aliści te wszystkie zalety charakteru nie uchroniły ich przed uciskiem, owszem, w jeszcze wyższym stopniu ciągnęły go na nich. Ponieważ bowiem nie ubiegały się o władzę w świecie, ponieważ nie posiadały wojowniczych ksiąząt dziedzicznych i woleli — dla świętego spokoju — oplotać się daninami, byleby im tylko dano zamieszkiwać ich kraje bez zacepki, — więc też różne narody (najczęściej Niemcy) srogo grzeszyły względem nich.

(ciąg dalszy na str. 3-iej)

MICHAŁ RUSINEK

Z barykady w dolinę głodu

Fragment z książki p. t. „Z barykady w dolinę głodu”, która ukazuje się w tych dniach nakładem wydawnictwa „Przełom”.

Okno jest małe, ledwie ponad ziemię. Do połowy zakryte deską, by śnieg nie sypał do piwnicy. Ten otwór wystarcza jednak, aby widzieć stąd zawiane przejścia między blokami, druty obrośnięte śniegiem i komin krematorium, z którego snuje się nieustanna, brudna smuga dymu.

Gdy zadyunka przesunie się do Dunaju, można dostrzec wyraźniej szczyty wlokące się do podziemi Melkendorfu. Trzymają się za ręce i posuwają wolno, głowy chyłąc przed śnieżycą.

Zaduch chloru, którym Schlessinger posypuje ziemię i cement niedalekiej trupiarni, panuje wszechwładnie nad przestrzenią. Tylko ten chlor i nic więcej, zeszywniałe zwoleki nie wydają żadnej woni. Są tak zimne, że śnieg, który sypnie czasem na piersi, leży iskrzący, niestopiony, jak mialki cukier.

Truposze Schlessinger i Ladner borykają się ze zmarłymi. Ladnerowi nie dziwota, bo jest grabarzem z żydowskiego cmentarza, lecz Schlessinger to węgierski śpiewak. Ale właśnie Ladner ma uśmiech nie-grabarza, a Schlessinger śpiewak ma twarz kościotrupa. Ścięte policzki i nos zadarty z otwartymi konchami nadają temu prostoduszemu człowiekowi niesamowite piętno.

Gdy każdego ranka wchodzi do izb i zadaje pytanie: — Wieviel Todt — chorzy na pryczach odwracają się i nakrywają kocami, jakby spojrzenie jego dawało wyrok śmierci.

Dlaczego tak się go boją? Schlessinger nie lubi umarłych, lubi żywych. Im mniej umarłych w obozie, tym wolniej może chodzić z noszami, odpoczywać i marudzić. I może przetrzyma obóz. Gdy więźniowie śpieszą się do śmierci, Schlessinger musi biec szybko po sztubach, dźwigać zwoleki i tracić resztę kaloryj. Robi co innego niż ci, co pracują w kopalni, ale tak samo jak i oni chudnie. Może wolniej nieco, bo czasem znajdzie się przy zmarłym ćwiartka niedojedzonego chleba.

Nie lubią jednak Schlessingera jak i Francuza, lekarza-dentystę René, który wchodzi zaraz po nim do izby. Jeden przywlecze zwoleki do drzwi, będzie czytał zardzewiałą blachę z numerem na martwych rękach, potem napluje na piersi i napisze na swej ślinie fioletowym ołówkiem wielki numer zmarłego od ramienia do ramienia. Drugi wyjmie młotek i dłutko, wcale nie dentystyczne, i wybije złote zęby zmarłego, skrupulatnie zapisze ich ilość i odda do „schreibstuby” obozu. Pojadą do centrali w Mathausen budować nowe czolgi dla „Grossdeutschland”.

Tak każe obozowe prawo i na to nie ma rady.

Potem dopiero przyniosą zwoleki do piwnicy i Franek Żebryk, mój piwniczny przyjaciel, zdejmie z nich koszule. Nie zawsze, bo częściej przyjdą nagie. Paska na nich nigdy nie będzie, bo pasek weźmie w spadku najbliższy kolega. Pasek niepotrzebny w krematorium, a można za niego dostać kubek gorącej kawy.

Dobrze, że jest zimno, że wiatr przewieje wybitymi oknami, bo czuć tylko chlor w piwnicy.

Franek Żebryk będzie układał w wysokiej tradze śmiertelne koszule. Nie są to listy pieniężne ani przesyłki pocztowe, jakie segregował na poczcie w Warszawie, ale w każdym razie coś liczy, nie dźwiga jak przedtem kamieni w ciemnych sztolniach.

Staruszek Wiśniewski (bo jest nas tutaj trzech) układa także śmiertelną bieliznę. Jest skupiony i ostrożny, nawet w piwnicy mówi cicho.

— Mówię wam, że do maja. W maju się wszystko skończy. Mam takie sny, nie są to właściwie sny lecz wołania. W nocy ktoś do mnie woła, ostrzega mnie duch opiekuńczy. Mialem to parę razy w życiu, żona nigdy w to nie wierzyła. Ostatni raz przed powstaniem słyszałem właśnie ten głos „Wyjedźcie stąd, bo tu będą straszne rzeczy”. Nie wyjechała i co? Nie wiem nawet, czy żyje.

Franek nie lubi tego gaduły. Jeszcze gdyśmy pracowali w kopalni nie znosił żadnych wózków. Ale pyta.

— No i co, bo na razie nic ciekawego.

— Właśnie w grudniu miałem sen, to znaczy głos wołający. Słyszałem najwyraźniej „Przeżyjesz, dwudziestego czwartego maja będziesz wolny”.

Franek ubija śmiertelne lachy w tradze i odpowiada zdenerwowany.

— Niedawno mówiłeś, że to będzie dwudziestego czwartego grudnia lub dwudziestego piątego grudnia. A to już jutrze.

Staruszek nie da się przekonać.

— Prawda, tak mówiłem, bo i głos mówił niewyraźnie dwudziestego czwartego lub piątego będziesz wolny. Myślałem, że to w grudniu. Teraz wiem, że to było dwudziestego czwartego piątego: piątka rzymska, rozumiesz, to znaczy maja. Wszystko w porządku.

— Ciekawym, co powiesz, gdy dożyjesz do czerwca...

Mówi się, bo słowo to najlepsza pociecha. Cóż z tego, że obok leżą zmarli z postawionymi w górę kolanami, z resztą papierowych bandaży, które fruują za podmuchem wiatru.

Mówimy o wojnie, o bitwach na nieznanym frontach, o ostatniej niemieckiej ofensywie, która wypiera podobno angloamerykanów z nad Renu. Właśnie teraz w zimie, gdy nadzieje nasze czekały na największą końcową rozprawę, dzieje się coś innego. Niemcy idą na zachód.

W takich dniach to nawet lepiej nie mówić o wojnie. Mówimy o przyjaciółkach.

— Wysocki może przeżyje — pociesza mnie Franek — to przecież był silny chłop.

— Nie wiem, ma za wysoką gorączkę. Od dwóch dni nie można z nim rozmawiać.

— Ale to silny organizm. Pamiętasz, jak on ciągnął przy świdrach?

— Właśnie za dużo ciągnął.

Schlessinger i Ladner wchodzi i wychodzą, przynoszą ciągle nosze. Raz widzę ich przez urywek okna, a potem znowu w drzwiach. Nosze mają przywiązane pałkami drucianym do karku, bo człowiek nieżywy nawet chudy jest jeszcze bardzo ciężki. Przynoszą, układają na stosie do zmroku. Tylko o zmroku wczesnym lub wieczorem wolno je przenieść do krematorium.

Teraz noszą dwóch naraz, a z tyłu za nimi idzie lekarz z rewiru, esman, z dziwnym nazwiskiem Muzykant.

Uciekamy z Żebrykiem do drugiej piwnicy za drzewo. Wiemy, co kryje w sobie zacięta twarz scharführera. Tydzień temu zabił własnoręcznie kilkunastu rannych więźniów z transportu więźniów słowackich z Preszburga. Przywieźli ich do obozu zaraz po nalocie angielskim z poszarpany-

mi nogami i brzuchami. Nie wiadomo dlaczego, chyba za to, że odczuli na sobie angielskie bomby, skazano ich na śmierć głodową w rewirze.

Zamknięci w izbie szóstej chcieli prędeż umierać. Wchodził więc lekarz scharführer do izby, zamykał się na klucz z rannymi. Bił drągiem, zrzucał z pryczy i własnoręcznie dusił.

Przed takim trzeba uciekać.

Franek jest czujny i uważny. Odzywa się zawsze pierwszy.

— Wyszli?

— Chyba wyszli. Chociaż słycać jakieś głosy.

Są to inne głosy niż tamte. Wydobywają się z niedalekiego stosu zwłok oprószonego śniegiem. Nie są to jęki nawet, cicha prośba.

— Czy jest tu kto? Zimno, przykrycie mnie kocem.

Drugi mówi też, ale nic z tego nie można wyrozumić. Nie potrzeba zresztą rozumieć, wystarczy na nich popatrzeć. Przytnęli ich dwóch nagich i wrzucili do trupów. Obaj mają stryczki z drutu na szyi.

Ten przytomniejszy, półsiny, mówi wyraźniej.

— Powiesiliśmy się na bloku. Znalazł nas, odciał i powiedział: „Chcecie zdechnąć, to zdychajcie w trupiarni”.

Nie wolno ich nakryć kocem, scharführer będzie sprawdzał, czy żyją, to też Franek układający bieliznę krzyczy.

— Cicho bądźcie, do jasnej cholery, bo nie można wytrzymać. Nie wieszaj się drańmi jeden z drugim.

Tak mówi, ale bierze jakieś szmaty i niesie.

— Gdy przyjdzie, nie mówcie, że to ode mnie, sameś przywłókl te szmaty, rozumiesz?

Widzimy teraz ulgę na twarzy zsiniałej od zaciśnięcia drutem. Będzie cieplej, cieplej aż do śmierci.

Ci dwaj przynajmniej zachowują się cicho. Gorzej było z Francuzami, których wrzucono do piwnicy dwa tygodnie temu za nieudałą ucieczkę.

Zamknięci przez scharführera na klucz, wyprawiali harce w ciemnościach kostnicy. Franek i wtenczas nie mógł wytrzymać. Nie rozumiał z tej rozpaczliwej francuszczyzny ani słowa, ale wiedział doskonale, o co chodzi. Szukał więc dziury jakiejś pod stropem, jakby to wrzucić tam własny chleb, byśny wreszcie mieli spokój przy pracy. Uciszyli się całkiem, gdy im dano zastrzyk do serca z benzyny.

Codzień tak idą szczyty koło baraku i codzień jest coś nowego w piwnicy. Franek układa koszule pasiaste, lepiące się marynarki, patrzy na numery i mówi:

— Polak, 95016, Dolewka; pojechał, bo sprzedał chleb za papierosy.

DR STEFAN KAWYN

ŻEROMSKI I ETYKA BRATERSTWA ABRAMOWSKIEGO

Styczności osobiste Żeromskiego z Abramowskim, lektura jego dzieł socjologicznych nie pozostały bez następstw w twórczości literackiej: zdynamizowały od razu cały świat moralny Żeromskiego, skłonnej do współczucia naturze pisarza nadały pewną linię kierunkową, odczuciom wrażliwego serca dostarczały formuły logicznie jasnej, nie pozbawionej wszakże uroku osobistego przeżycia.

Takie postaci z *Opowiadań*, jak dr Piotr, Stanisława Brzowska z *Silaczki* lub z cyklu *Rozdziołki nas kruki, wrony* — Janek All-de-Baran, nieszczęśliwy Jakub Ulewicz, czy z *Promienia* Raduski — zawsze mają na ustach swoje „społeczne etyki”, które każą im „widzieć brata w człowieku”. Czują się one zespolone z ogólnym cierpiącym i pokrzywdzonym. Już w tych pierwszych utworach Żeromski opisuje procesy wewnętrzne w duszy człowieka, kiedy to na widok nędzy ludzkiej „cała głębia duszy drgnęła”, odczuła swoją tożsamość z nieszczęśliwym bliźnim dźwigającym „nadmierny ciężar życia”.

Postaci te odczuwają braterstwo z ludźmi pracy. Egoizmu wystrzegają się jak grzechu, tropiąc jego nikłe ślady w altruiz-

mie, w filantropii widząc raczej zadowolenie własne człowieka, a nie szczerą chęć pomocy bliźnim. Tworzą jakby „kooperację serca umęczonych” pod patronatem najświętszej męki ukrzyżowanego Chrystusa, którego „najczystsze ręce gwoździami przybite do Krzyża za to, że się wyciągnęły przeciwko mocy żelaza z błogosławieństwem tych, którzy płaczą”.

Nie tylko ciche ich bohaterstwo sławi Żeromski w żywotach siłaczy ducha i miłości bliźniego. Opisuje także to zjawisko, które Abramowski nazywa „komiczną śmiercią ideału”. Następuje ona wtedy, gdy wzniosły, bezkompromisowy ideał, kategoryczny imperatyw zaczyna przystosowywać się do warunków, ulegając w życiu ludzi małym wypaczeniom, parodii. Tak sparodiowany został np. ideał poświęcenia w życiu dra Obareckiego z *Silaczki*.

Najpełniej wszakże zagadnienia z zakresu ideologii społeczno-etycznej rozwija Żeromski w powieści, która stanowi zamknięcie pierwszego okresu jego twórczości, a zarazem pierwszą syntezę jego świata idei — w *Ludziach Bezdomnych*. Ideologia ta tutaj nie jest tylko materiałem dyskusyjnym, ale wchodzi organicznie w całość

— Polak, 95960, Wasilewski. Pamiętasz? Ten mój kolega z poczty, w okularach, we trójkę nosiliśmy szyny w sztolni.

Pamiętam, drutował w czasie alarmów okulary. Tylko w czasie alarmów lotniczych, kiedy Niemcy uciekali do innych sztolni, można było usiąść na taczce, bić wszy czy drutować okulary. Pamiętam, pożyczal za darmo igłę, a raz nawet dał mi onuczkę. Umiał się doskonale rozgrzewać na apelplacu. Mogłeś stać przy nim siedem godzin i zawsze miał chęć i odwagę do wspólnego nacierania pleców. Zawsze mówił.

— Jak się nie będziemy rozgrzewać, to zamrzniemy.

Nie zamarzał, ale nie wytrzymał.

I tych numerów i nazwisk będzie odgadywał bez liku. W owej litani codziennej nie będzie z czasem ani wzruszenia ani współczucia, będzie otepiałość, a może lęk na widok pośpiechu, z jakim śmierć schodzi do piwnicy coraz bliżej naszych numerów.

Aż któregoś dnia, pełnego mgły, śniegu i wiatrów mroźnych z nad wysepki Dunaju, przyjdzie jeszcze jedno nazwisko — Wysocki. Ten, z którym borowaliśmy tunel; który uciekał, krył się, prosił zawsze o dobre, pocieszające słowo.

Jeszcze dnia wczorajszego szukał mnie i Żebryka po izbach. Spotkaliśmy go przypadkiem, gdy wychodził z ubikacji. Stał w zaśmieżonych drzwiach nagły i trzęsący się, jak wszyscy chorzy, którzy musieli bez bielizny chodzić do ustępu.

Stojąc w roztajałym śniegu, mamrotał bezprzytomnie, pytał nas o nasze właśnie nazwiska.

— Gdzie są? Muszę ich znaleźć. Chcę im powiedzieć największą moją tajemnicę. Oni obaj są z powstania, może wrócą kiedyś do Warszawy.

Mówił to w kółko do nas i do wszystkich więźniów naokoło.

Zanieśliśmy go na pryczę i nakryli kocami.

Na drugi dzień rano szliśmy z Frankiem do swej upiornej pracy. Jak zawsze po nocy przejście zawalone było zwołkami. Ladner sypał chlor, a Schlessinger, śpiewak węgierski, układał w kącie stosy nagich rąk i kolan, opornych, skręconych jak stwardniały makaron.

Zanim położyłem deskę na wklęsłych brzuchach i kościstych poślach, aby przejść do piwnicy, zatrzymał mnie Franek Żebryk i wskazał ręką ku ziemi. Spojrzałem i pamiętam na zawsze.

Głowa jego ogolona leżała w ścieku, a twarz patrzyła w strop piwnicy. Na piersiach miał stos nóg stwardniałych, obrośniętych jak wszystkie cementem. Patrzył i szukał nas nadaremno poprzez powiewające, zmoczone śniegiem bandaże.

Ta twarz przyjaciela wystarczy mi na całe życie za wszystkie. To była wtenczas jedyna jeszcze twarz zmarłego, na którą nie mogłem patrzeć. Zawolałem spod ściany Schlessingera i poprosiłem go po prostu.

— Schlessinger, proszę cię bardzo. Tego pierwszego zanieście do pieca. Po jego trupie nie pójde do piwnicy.

działa literackiego, jako jego czynnik kompozycyjny. Tułactwo dra Judyma jest zarazem tułactwem jego idei. Losy bowiem jego życia zależą bezpośrednio od wkorzenia się tej idei na terenie jego praktyki lekarskiej. I konstrukcja psychiczna postaci w tej powieści uzależniona jest od ideologii w stopniu wysokim. Zarówno dr Judym, jak inż. Korzecki wyposażeni są w te wszystkie zasadnicze cechy, które stanowią podstawowe elementy ideologii Żeromskiego: obdarzył ich pisarz zdolnością współczucia wobec nędzy ludzkiej, poczuciem „tożsamości” z człowiekiem cierpiącym, uczuciem dobroci i braterstwa, wrażliwością na grzech krzywdy, umiłowanie wolności i sprawiedliwości społecznej.

„Czujące wredzenie o czymś nad wszelki wyraz bolesnym”, — ten stan psychiczny towarzyszy Judymowi stale czy to, gdy przed jego oczyma roztoczy się obraz żydowskiego ghetta w Warszawie albo nędzne podwórce pełne bawiących się rachitycznych dzieci.

„Czujące wredzenie” zabarwiało specjalnie obserwację, wrażliwiało ją na nędzne warunki życia ludzkiego i pracy. Straszliwy wzrok nędzarza palił jego du-

sze, krzywda społeczna wola nań żywym głosem z ponurych zakątków fabrycznych.

Umilowawszy więc człowieka cierpiącego, zjednoczył się z nim i zespolił. Na tym podłożu wyrosła świadomość dłużnictwa społecznego („...będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego...”), zrodziło się poczucie odpowiedzialności za krzywdę i nędzę człowieka na ziemi. W głębi myśli bezdomnego lekarza żyje prawdziwy świat społeczny: świadomość tożsamości ludzkiej, braterstwa. Gdy zwiedzał osadę kopalni i spoglądał na robotników, „najtajemnicze, najbardziej istotne uczucie wewnętrzne witalo w tych ciemnych i brudnych figurach ojca i matkę”.

Jeszcze silniejszych uczuć tożsamości ludzkiej doznawał Judym wtedy, gdy patrzył na cierpiącego człowieka: „Były chwile, kiedy mu się widziało, że to on sam leżał na tym postaniu, wpatrywał się w gasnące światło, że jego usta szeptały cichą modlitwę...”

W stopniu o wiele wyższym niż Judym nosi w swej duszy to socjologiczne znamię tożsamości ludzkiej — inż. Korzecki. To męka dla niego nie do przetrzymania. Uciec pragnie przed światem zła i cierpienia. Doremnie: „zawsze i wszędzie widzę odbity świat w sobie, w mojej duszy nie-szczęśliwej. Gdzie się nie podzielię, wybucha tam wściekły gniew przeciw jakiejś podłości dawno widzianej... gniew bezsilny, a im bardziej bezsilny, tym większy”. „Zanadto wyedukowana świadomość zła”, to męka. Ale nierównie większą katuszą jest posiadanie prawdy: że trzeba czcić człowieka, że gdy ciągle się mówi o podporządkowaniu szczęścia jednostki dobru ogółu, państwa, trzeba się zastanowić, czy ta zasada nie jest zamaskowaną mową przemocą nad duszą człowieka. „Zło niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego. Człowiek — jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno. Wyjąwszy krzywdy bliźniego wolno każdemu czynić, co chce”.

Granica krzywdy leży w sumieniu ludzkim. Nie siłą ma być wykrzewione z dusz ludzkich zło, które nazywamy zbrodnią. W człowieku jest przecie prawie wszystko dobre: musi być tylko wyzwolone, wówczas zło samo zginie. Na udowodnienie tych prawd nie ma żadnych wyspekulowanych argumentów, — to wiedza oparta raczej na intuicji, na owym Dajmonion, pierwiastku boskim, tkwiącym w duszy ludzkiej. To poczucie braterstwa, immanentne w człowieku, braterstwa, które uspołecznia każdy niemal krok, każde poruszenie myśli. Cześć dla człowieka, dla jego wartości potencjalnych w tej formie, z jaką spotykamy się w twórczości Żeromskiego, pierwszego okresu zwłaszcza, nie pozostaje w izolacji od silnego prądu indywidualistycznego epoki u schyłku XIX stulecia, którego najwybitniejszym reprezentantem jest u nas w tym czasie Abramowski.

Indywidualizmowi epoki dał uzasadnienie naukowe: jeden z pierwszych przecież w nauce polskiej ujrzał w duszy jednostki rozległy świat stosunków społecznych. Badania zaś swoje przeprowadził w formie tak sugestywnej i ponętnej, rozwarł tak pociągające perspektywy praktyki wniosków uzyskanych, że wpływem swoim zaważył na istocie i kierunku ówczesnej myśli i działalności organizacyjnej polskiej.

Zaważył przede wszystkim jako czynnik kształtujący formy intelektualne dla rozległej uczuciowości Żeromskiego, uprzytamniał mu zagadnienia epoki, możliwości ich rozwiązań: przecież tak często poruszany problemat „tożsamości ludzkiej”, dobroci i braterstwa, krzywdy i sprawiedliwości społecznej, wartości człowieka, — to centralne punkty myśli badawczej Abramowskiego, zarazem jego wiary, ideologii, jego „etyki braterstwa”.

Był bowiem Abramowski i uczonym i działaczem-ideologiem; badał nie tylko to, co jest, ale sięgał także w przyszłość, określał to, co być powinno, tworzył. Był przede wszystkim odkrywcą świata społecznego w duszy jednostki. Zjawiska życia społecznego sprowadził do faktów świadomości indywidualnej: apercpepcja bowiem — w przeciwieństwie do bezimiennych stanów duszy, uspołeczniona zjawiska. Zjawisk tych nie można rozpatrywać tylko w ich wzajemnych stosunkach, ale zawsze w stosunku do żywego człowieka. Z żywym człowiekiem, a nie z abstrakcyjnymi „widmami ludzkimi”, musi się liczyć wszelka przebudowa społeczna. Przekształcenie bowiem życia społecznego nie może się od-

bywać wyłącznie na drodze przeprowadzania wniosków, wynikających z rozumowego badania przyczynowości, ale odbywać się winno przede wszystkim na drodze uwzględniania lub wytwarzania rzeczywistych potrzeb wśród żywych ludzi.

Jeżeli to, co indywidualne, jest zarazem społeczne, jeżeli ośrodkiem każdej budowy społecznej, ustroju, instytucji jest żywy człowiek, — to powstaje pytanie, jakim powinien być ten człowiek, ażeby mógł zmierzać ku przekształceniu świata?

Tu wchodzą na teren zagadnień nowej etyki, „etyki braterstwa”, całego spłotu problemów ważnych, podstawowych w systemie socjologicznym Abramowskiego: badacz i działacz, myśl i ramię zetknęły się na gruncie tej problematyki. Bez względu na poszanowanie człowieka, pojmowanie życia jako interesu wspólności, — oto główne dogmaty etyczne. W moralności postępowania wszystkie cnoty sprowadzone do „zbiorowej przyjemności”, wszystkie grzechy — do krzywdy człowieka; „poza tym niech każdy robi, co mu się podoba”.

Etyka ta nie wymaga żadnych wyrozumowanych podstaw teoretycznych, opiera się na subiektywnym, w naszej intuicji moralnej istniejącym, odczuciu, na dobroci. Zjawia się ta dobroć wtedy tylko, „gdy istota człowieka odnajduje siebie w innych osobnikach”, gdy indywidualność jego przenika do innych, gdy zdolny jest odczuć cudze cierpienia jako własne. Tym się tłumaczy fakt, że na pytanie, dlaczego mam być dobry dla kogoś, — brzmi odpowiedź zastępująca wszelką rozumową rację dostateczną: „dlatego, że to jest człowiek!”

Dobro zatem jest specyficznie natury społecznej. I ono to prowadzi za sobą zagadnienie: jak być powinno, stwarza normy i kryteria postępowania w instytucjach ludzkich, otwiera przed człowiekiem rozległy świat praktyki, świat czynów. Tu leży prawdziwa wartość człowieka, twórcy nowego życia w nowych jego organizacjach: w wolnych stowarzyszeniach, organizacjach wspólnoty, w związkach przyjaźni, spółdzielniach.

Indywidualizm czasem zakrawający nie, co na kropotkinowski anarchizm, — to cicha zasadnicza ideologia społecznej i etycznej Abramowskiego. W ostatnich latach XIX wieku był on zjawiskiem powszechnym: przejawiał się w poglądach na sztukę, w systemach filozoficznych, w psychologii uwydatnił się usprawnieniem obserwacji wewnętrznej, uznaniem intuicji jako władzy spostrzegania życia w jego przebiegu, w prądach ideowych anarchizmu*). Na tym tle poglądy społeczne i etyczne Abramowskiego stanowią najpełniejszy wyraz nowej epoki humanizmu, który myśl ludzką czyni rodniem świata zjawisk w ogóle, a sumienie człowieka rodniem świata społecznego.

Poglądy te, których siła leżała nie tylko w zniewalającej argumentacji, ale w możliwości natychmiastowego ich zrealizowania w życiu, wyłoniły się przed Żeromskim jako sugestia nieodparta. Postaci szarych ofiarników i cierpiętników idei, które przesuwały się na kartach utworów Żeromskiego, przeszły przez szkołę Abramowskiego. Widzieliśmy też, że zagadnienie „tożsamości ludzkiej”, dobroci i braterstwa, bezwzględniego szacunku dla człowieka, zagadnienie moralności postępowania uzyskały miejsce w zawartości ideowo-myślowej dzieł Żeromskiego, co więcej, powtórzyły się nawet w dosłownym prawie frazeologicznym sformułowaniu.

Wrażliwie na nędzę ludzką serce pisarza, myśl gorączkowo szukająca środków leczenia ran społecznych, niszczenia krzywdy i niesprawiedliwości w Polsce, walczący ciągle w pisarzu, niby Anioł i Jakub, artysta i społecznik, — wszystkie te czynniki zwróciły Żeromskiego w stronę ideologii myśliciela i działacza, którego w ostatnim dziele nazwie „jasnym duchem” swej młodości. Zwarł się — u progu swej twórczości — w uścisku braterskim z ideologią Abramowskiego, widząc w niej zespół tych idealów, które w duszy jego zaszczerpiła matka, a które prowadzić miały do Polski wolnej, wielkiej i moralnie pięknej. A że był artystą słowa, realizował przeto owe ideały „etyki braterstwa” w swojej dziedzinie, swoimi środkami — jak tego żądał Abramowski — w wizji artystycznej.

*) Por. B. Suchodolskiego monografię o St. Brzozowskim, gdzie zaznaczono też po raz pierwszy — ogólnie zresztą — styczności myślowe Żeromskiego z Abramowskim.

DR RYSZARD WROCZYŃSKI

STULECIE UNIwersytetu LUDOWEGO

W listopadzie ubiegłego roku, kiedy zawierucha wojenna dobiegała kresu, minęła setna rocznica powstania pierwszego uniwersytetu ludowego w Rödding, w duńskim Szlezwigu. I jakkolwiek dopiero w lat dwadzieścia później wytwarzają się właściwe formy i metody uniwersytetu ludowego, skromny „zakład dla ludu” w Rödding uważać należy za początek wielkiego ruchu na polu społecznej oświaty, który, choć z ducha duńskiego narodu i z duńskich potrzeb zrodzony, przekroczył szybko granice piaszczystej Jutlandii i przybrał wymiary europejskie.

Czym jest uniwersytet ludowy i jakie są jego początki? Uczelnia ta wyrosła z geniuszu reformatora religijnego — poety, filozofa, myśliciela — Mikołaja Fryderyka Grundtviga (1813—1872), „największego wychowawcy północy”, jak go nazywa szwedzka pisarka Anna Sandström.

W połowie XIX w. Dania przeżywa jeden z najcięższych okresów swych dziejów. Najazd pruski w r. 1864 pomimo bohaterstwa i odwagi Duńczyków nie tylko pozabawia ich południowych obszarów państwa, ale sprowadza też śmiertelne zagrożenie narodowej egzystencji. Na terenach okupowanych patrioci duńscy są prześladowani, język zabroniony. W prowincjach centralnych i północnych w warstwie szlacheckiej i wśród duchowieństwa dają się zauważyć groźne objawy przytępienia narodowych uczuć. Niemczyzna wsącza się coraz wszechwładniej w duńskie życie. Język ojczysty zniża się do roli lingua vernacula, lingua vulgaris. Grundtvig, w którego marzycielskiej ale płomiennej duszy gorzały wielkie zniechęcenia i miłość wszystkiego co ojczyste, przetępił gorączkę narodowego poniżenia w potężne pragnienie ratowania spopielałych uczuć Duńczyków. Namiętne przywiązanie do przeszłości i teraźniejszości piaszczystej swej ojczyzny, miłość dla dawnych historycznych tradycji Wikingów i dla starych wierzeń skandynawskich każą mu szukać źródeł odrodzenia w prakulturze Duńczyków. Syn pastora, sam sposobiący się do stanu duchownego, śpiewa obok psalmów i pieśni patriotycznych, które porwały młodzież duńską w latach 1846—1848, gorące hymny na cześć bogów Północy. „Chrystusie wszechwładny, wielki Odynie” — pisze ku czci boga swych praojców. Gdzie indziej zaś stwierdza: „Naród daje wizerunek swej duszy w swych bogach. Pod względem piękności formalnej stoją greccy bogowie najwyżej, lecz pod względem wewnętrznej nie mogą się oni mierzyć z bogami Północy”.

Ten punkt wyjścia sprowadza Grundtviga na teren ostrej walki z uniwersalizmem łacińskiej kultury humanistycznej, przyniesionej do Danii przez Niemców. Źródeł poniżenia narodowego Duńczyków szuka w

czasach dalekich i znajduje je w humanistycznym zalewie kultury staroskandynawskiej.

Grundtvig nie walczy z kulturą humanistyczną, ale walczy z jej wszechwładztwem, z jej niszczącą i niwelującą narodowe indywidualizmy uniwersalnością. A poza tym, podobnie jak współczesny mu Zygmunt Krasieński — gardzi Rzymem, widząc w nim naród, który szedł drogą rozboju, skończył — upodleniem. Teolog i poeta, o wnikliwym zmyśle historycznym, dostrzega, iż wszystko, co w kulturze rzymskiej było mu bliskie i drogie, było helleniskie. Być może, iż zmysł historyczny pozwalał mu już wówczas dostrzec pokrewieństwa psychiczne starożytnych Rzymian i współczesnych mu Prusaków...

Negacja humanistycznej kultury obok czei dla narodowej przeszłości stają się idea — matką uniwersytetu ludowego. Z negacji tej rodzi się pozytywny program. Potok humanistyczny toczył się poprzez górne warstwy narodu. Kultura humanistyczna nosiła piętno arystokratyzmu, zamknięta była do nielicznej społeczności wybranych. Lud, stojący poza orbitą jej wpływów bezpośrednich, pozostał niby arka przymierza ze starymi staroskandynawskimi tradycjami. Przebudzenie więc narodowe Duńczyków dokonać się może przez rzucenie pomostu poprzez epokę humanistyczną dzielącą jałową współczesność od bohaterstwa przeszłości narodu i poprzez powszechne wychowanie ludu w oparciu o czynniki narodowe. Grundtvig szuka właściwszych form dla tego wychowania i znajduje je w koncepcji t. zw. uniwersytetu ludowego, t. zn. wyższej szkoły dla ludu, która by dojrzałej młodzieży chłopskiej w miejsce całego balastu wiedzy książkowej dawała pogląd na życie i pobudzała do poszukiwania własnej drogi. Marzeniami swymi przekraczał jednak granice ojczyznej Danii. Kult starodufskich tradycji wykształcił w nim patriotyzm skandynawski. Pragnie odrodzenia duchowego całej Skandynawii w oparciu o jej rodzimą kulturę. Marzy o wielkim uniwersytecie skandynawskim, — jako ognisku odrodzenia duchowego narodów Północy. W uniwersytecie tym zamiast „łacińskich” katedr starego typu wprowadzone byłyby katedry nowe, powiązane z rodzinnym życiem i kulturą ludów skandynawskich.

Idee Grundtviga były zarzewiem zapalnym dla całego pokolenia współczesnych i potomnych pracowników oświatowych. Zasługa jednak przeniesienia tych idei na teren praktyki realizacyjnej przypada w udziale dwóm ludziom, którzy, choć różni umysłowością i niezgodni w koncepcjach szczegółowych, stworzyli organizacyjne i programowe podstawy dla uniwersytetu lu-

(ciąg dalszy na str. 4-ej)

Niemcy bez maski

(dok. ze str. 1-9j)

Już za Karola Wielkiego rozpoczęły się owe wojny najeźdnicze, które miały na celu oczywiste korzyści handlowe, aczkolwiek je toczono pod pozorem krzewienia wiary chrześcijańskiej. Bo też walecznym Frankom wygodniej było zaważać pracowitym, rolniczym i przemysłowym narodem, niż ujemnością tych się uczyć i samym je uprawiać. To zaś, co rozpoczęli Frankowie, tego dokończyli Saksończycy. W całych prowincjach tępiono lub brano do niewoli Słowian, a posiadłości ich rozdzielano między germańskich biskupów i szlachtę. Ich morski handel na Bałtyku zniszczyli północni Germanie. Wineta znalazła swój koniec tragiczny za sprawą Duńczyków: — a resztki narodu, pozostałe dziś w Niemczech, żywo przywodzą na pamięć to, co Hiszpanie uczynili z Peruwiańczykami.

Nic zatem dziwnego, że po stuleciach wciąż doświadczonej przez nich zaciekłej nienawiści, łagodny charakter tych narodów spacył się, stał się podstępny, okrutny, służalczy i leniwy. Lecz mimo to, w każdym kraju, gdzie się cleszą choć jaką taką wolnością, dawne ich zalety występują do-tychczas. Narody słowiańskie wpadły w nieszczęście z tego powodu, że przy swym umilowaniu spokoju i cichych trudów do-

movych nie potrafiły nadać sobie trwałej organizacji wojskowej, jakkolwiek w bojach obronnych nigdy nie zbywało im na odwagę bitewnej. Niefortunne było ich położenie pośród narodów: z jednej strony — zbyt bliskie sąsiedztwo Niemców, z drugiej — zaplecze, odsłonięte na wszelkie napady wschodnich Tatarów i Mongołów, od których Słowianie też dużo się nacierpieli.

Lecz nieustannie toczące się koło dziejów jest zmienne. Że zaś narody słowiańskie zamieszkują po większej części najpiękniejsze obszary Europy, które będą kiedyś całkowicie uprawnione, a handel na nich rozkwitnie w całej pełni, że — dalej — nieodzwrotnie przypuszczać należy, iż europejskie prawodawstwo i polityka, miast ducha wojennego, zechce w przyszłości popierać i popierać będzie musiała coraz bardziej zbożny trud i stosunki pokojowe między narodami, — więc i wy, tak dziś głębokopogrążone, niegdyś tak pracowite i szczęśliwe narody, zbudzicie się nareszcie ze swego długiego, gnuśnego snu, by różnym sercem cieszyć się ze swych pięknych krain od Adriatyku do Karpaty, od Donu po Moldawę, jako swą własnością odzyskaną, i obchodzić na nich będziecie swe dawne święta pokojowej pracy i wymiany dóbr ziemskich”.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Wymowa grodów prasłowiańskich

W dobie zawrotnego rozwoju nauk technicznych, jakiej charakteryzował okres międzywojenny, pewne odmiany wiedzy z reguły nie cieszyły się popularnością w szerokich masach. Do tej upośledzonej kategorii należała niestety archeologia. Szanowano jej zasłużonych promotorów, lecz pozwalano im grzebać się w skorupach i wszelakich szczątkach w nieznanym nam bliżej ustroju. Aż dopiero tragiczne wydarzenia ostatniej wojny wykazały niezbicie, że wywody prehistorii mogą mieć znacznie głębsze znaczenie społeczne, aniżeli naogół przypuszczano.

W ciągu przeszło pięciu lat rządili się niemieccy najeźdźcy w naszym kraju, traktując go jako swą „przestrzeń życiową”, do której niby to mieli dziedziczne prawa. Wtargnęli do nas uzbrojeni nie tylko w bomby, armaty i karabiny, lecz w cały arsenał argumentów pseudonaukowych, na poparcie swych roszczeń do naszej prastarej ziemi. To uczeni pacholkiwowie narodowego socjalizmu siabrykowali mit o nordyckości Niemców i ugruntowywali metodycznie w głowach swych ziomków przekonanie, że Niemcy są nadludźmi, którym wolno tępić narody „niższego rzędu”, przede wszystkim Słowian, i osadzać kolonistów na zie-

miach usianych trupami dawnych mieszkańców.

Poniżyli swą godność naukowców do procedury szarlatanów, nie cofając się w posługach politycznych przed fałszowaniem historii i archeologii. Dlatego też niezmiernie wielką doniosłość mają dla nas wyniki badań prehistoryków polskich, którzy stwierdzają niezbicie, że siedzimy na ziemiach naszych od prawnieku i że już w bardzo odległej przeszłości posiadali przodkowie nasi wysoką kulturę materialną.

Niejedno już o istnieniu prastarej kultury słowiańskiej powiedziała nam archeologia. Wydobyla z grobów, rozsianych gęsto po naszej ziemi, przepiękne naczynia gliniane, rozmaite narzędzia i ozdoby, świadczące o zamożności tych, co ich używali, o wysoko rozwiniętym poczuciu estetycznym. Ale najwspanialszym triumfem prehistorii, a zarazem kultury naszej, było odkrycie przez profesora Uniwersytetu Poznańskiego, znakomitego prehistoryka Józefa Kostrzewskiego, na parę lat przed wojną, prasłowiańskiej osady bagiennej w Biskupinie, na terenie Wielkopolski, prastarej kolebki Państwa Polskiego.

Osada, która zachowała się początkowo pod wodą, następnie zaś pod warstwą torfu, powstała w przybliżeniu 2.500 lat temu.

STULECIE UNIwersYTETU LUDOWEGO

(dok. ze str. 3-ej)

dowego. Byli nimi: teolog C.J. Brandt i nauczyciel ludowy Kristen Kold. Brandt — jeden z najwspanialszych ludzi epoki, głęboko wykształcony, przyjaciel Thorwaldsena i Martensena, marzył, jak i sam Grundtvig, o wielkim narodowym zakładzie naukowym. Kiedy po śmierci Chrystiana VIII, który był pod wpływami myśli Grundtviga, plan utworzenia centralnej akademii narodowej w Söro upadł, wyznawcy Grundtviga z Brandtem na czele postanawiają w 70 rocznicę urodzin mistrza zorganizować uniwersytet ludowy o wyższym poziomie. Uniwersytet taki rzeczywiście powstaje w r. 1856. Sam Grundtvig otwiera go mową, w której obrazuje podstawy ideologiczne uniwersytetu ludowego. Nie spotyka się jednak uczelnia ta z żywym przyjęciem. Zrażony Brandt porzuca kierownictwo, a następcy nadają „uniwersytetowi Grundtviga” odmienny charakter, zbliżając go do typu, który stworzył w tym czasie inny wielki wyznawca Grundtviga — Kristen Kold. Koldowi brakło rozległych horyzontów myślowych Brandta, górował za to zarówno nad Grundtvigem jak i nad Brandtem doskonałym znawstwem życia i psychiki ludu. Sam bowiem był synem chłopu duńskiego, znającym jego psychikę, jego zainteresowania. Obce mu były ambicje tworzenia „narodowych akademii” wzorowanych formalnie na uniwersytetach „łacińskich”, a wypełnionych jedynie nową treścią. Uniwersytet ludowy w jego pojęciu winien być instytucją kształcąca indywidualność wychowanków, budzącą ich wewnętrzne życie. Ten punkt widzenia kształtował również treść, jak i metodę uniwersytetu Kolda. Zapal i entuzjazm, tak znamienne dla Kolda, połączone z właściwym wyczuciem psychiki młodego człowieka, sprawiły, iż skromny zakład Kolda w Ryslingen, „akademia chłopka”, jak go żartobliwie nazywano, stał się ojcem uniwersytetu ludowego, a zasadniczy ustrój jego przetrwał po nasze czasy.

Treść nauczania i forma niewielkiej już tylko na przestrzeni czasu uległy zmianie. W odniesieniu do wychowanków uniwersytet ludowy wysuwa postulat przede wszystkim rozwoju ich osobowości. Nie jest to więc szkoła wiedzy. Przeważają w niej elementy emocjonalne i światopoglądowe, postulujące też określony typ nauczyciela. Wyrażna, skryształizowana osobowość, emanująca na uczniów, — to warunek zasadniczy, który każdy z wykładowców musi „w sobie” posiadać. Od czasów też Kolda przyjęło się, iż stosunki między nauczycielami i uczniami w uniwersytecie przybierają charakter rodzinny. Nauczyciele mieszkają, jedzą, przepędzają wolny czas wspólnie z uczniami. Oczywiście tylko indywidualności tegie, o wyraźnie zarysowanym pionie ideowym i intensywnym

życiu wewnętrznym mogą w takich sytuacjach zachować wśród uczniów aurytety, zyskiwać ich szacunek i miłość. Kold wymaga od nauczyciela jeszcze jednej właściwości: musi on umieć przemawiać, poruszać, wzruszać. W hierarchii środków dydaktycznych na pierwszym miejscu stał wykład, nie suchy, wsparty o całą encyklopedyczną wiedzę, ale poruszający imaginację słuchacza, budzący w nim ferment myślowy, zapalający do poszukiwania prawdy życia.

Christoffer Brunn uzależnia w ogóle wartość nauczyciela od zdolności właśnie takiego przemawiania. „Słowo nauczyciela uniwersytetu ludowego — pisze — musi mieć w sobie coś z siły myślenia, jak też i coś z siły poezji; kto tego daru nie posiada, nie nadaje się na kierownika uniwersytetu ludowego... Umiejętność mówienia o rzeczach wzniosłych w sposób prosty i zrozumiały — oto sztuka, sztuka pedagogiczna nauczyciela uniwersytetu ludowego”.

Jednostka o wyraźnie zarysowanej indywidualności, intensywnym życiu duchowym, umiejąca „własne ognie przelać w piersi słuchaczy” — oto ideał nauczyciela uniwersytetu ludowego, sprecyzowany przez Kolda, do dziś dnia aktualny.

Uniwersytet ludowy podziałał na wewnętrzne życie Danii rewolucjonizująco. Przyspieszył nurt wielkich przemian społecznych, które w wyniku nieszczęśliwej wojny roku 1864 się dokonały. Rozwój uniwersytetów ludowych przybiera wymiary niezwykle. Co trzeci Duńczyk przechodzi przez ich podwoje. Z chłopów wyrastają nowe kadry duńskiej inteligencji. W trzydziście lat po powstaniu skromnej szkoły w Rödning idee Grundtviga przenoszą na szerszy teren społeczno-polityczny Jerzy Brandes i Viggo Hørrup. Brandes z niezwykłą śmiałością godzi w ciasny mur przesądu stanowego, odzierając idealistyczną kulturę przeszłości z jej romantycznych blasków. Viggo Hørrup walczy świadomie i zdecydowanie o nowy ustrój i nowy styl życia Danii, zamykający się w postulatcie demokracji chłopskiej.

W r. 1872 masy ludowe duńskie pod przewodnictwem Berga, Bojsena, Hansena, Høgsbro zdobywają większość w zgromadzeniu ludowym — Folketingu — i wnoszą kraj swój na wyżyny gospodarczego i kulturalnego rozkwitu.

Rola, jaką uniwersytety ludowe odegrały w dziele odrodzenia narodowego Danii, spowodowała, że już u schyłku w. XIX wzbudziły one żywe zainteresowanie w krajach innych. Przeszczepione na grunt obcy służyły wszędzie tym samym, kształcącym, humanitarnym celom. W Polsce pionierem ruchu uniwersytetów ludowych był zmarły tragicznie w czasie ostatniej wojny Ignacy Solarz.

W tych czasach na ziemiach Pomorza i Wielkopolski było bardzo niespokojnie. Spelzali tu najeźdźcy z północy, pokrewni prasłowianom prabaltowie, szerząc na swej drodze śmierć i zniszczenie. Na wieść o grożącym niebezpieczeństwie budowali przodkowie nasi wielkie grodziska na bagnach, chronili się w miejsca niedostępne. Otóż półwysp biskupiński, ongi bagnisty, otoczony z trzech stron wodami jeziora, oddzielony od ładu trzęsawicą, był miejscem, wprawdzie upośledzonym pod względem zdrowotnym, lecz bronionym przed chciwym wrogiem przez samą naturę.

Obronność naturalną półwyspu wzmogli założyciele osady, wznosząc wzdłuż brzegu potężny wał, wysoki i trwały, gdyż ziemię i kamienie sypano do wielkich izb — skrzyń z belek dębowych, podpartych z dwu boków szeregiem mocnych słupów, które zostały wkopane głęboko w bagno. Dla uniknięcia podmywania brzegu przez fale wzmocniono go nadzwyczaj pomysłowym falochronem z grubych pali, wbitych ukośnie szeregiem w dno jeziora tak, że cały zewnętrzny stok okopu jest niejako opancerzony. Stroma ta palisada, chroniąca wybrzeże od wzbierających wód, utrudniała zarazem wrogowi dostęp do okopu.

Spędziłam dwa sezony letnie na terenie wykopalisk biskupińskich, które dały mi asumpt do napisania „Dziwu”, opowieści z życia prasłowian. Otóż celowość, z jaką budowano osadę bagienne, rzuca się w oczy. Na przestrzeni ograniczonej przez naturę, wynoszącej zaledwie 15.000 m², pobudowali się praocjowicie nasi według z góry obmyślnego planu, by wyzyskać każdą piędź ziemi. Tuż za wałem ochronnym biegnie ulica okrężna, gaćna pośrodku bierwionami dębowymi, układanymi ściśle na belkach podłużnych. Wychodzą na nią przecznice, równoległe do siebie, skierowane z zachodu na wschód. Są także gaćne. Ciasno stały wzdłuż ulic obszerne prostokątne domy, w równych pojedynczych szeregach, przylegając do siebie ścianami szczytowymi, zwrócone do ulicy ścianą dłuższą. W niej właśnie znajdowały się odrzwia, wychodzące z reguły na południe ze względu na ciepło i światło, — zastępowały bowiem okna.

Praocjowicie nasi sprzed 25 wieków byli znakomitymi cieślami. Budowali domy swe systemem łątkowym, polegającym na wpuszczaniu ściśnionych końców belek poziomych do pionowych rowków, wyżłobionych w czterech okrągłych słupach narożnych oraz w tak zwanych łątkach, — pośrodkich, do łątkowych słupach płaskich. Konstrukcja ta, w odróżnieniu od bardziej prymitywnej budowy na węgiel, wymagała doskonałej znajomości obróbki drzewa, zwłaszcza przy posługiwaniu się

DR FELIKS ARASZKIEWICZ

Martyrologia Zamojszczyzny

Wiadomo było powszechnie już podczas wojny, że Zamojszczyzna podległa wyjątkowemu terrorowi i specjalnej eksterminacji nawet w porównaniu do innych ziem Polski. Okupanci uznali ten teren za odwiecznie niemiecki na podstawie perfidnego fałszu pseudo-antropologicznych przesłanek i zakłamanych niby — dowodów historycznych. Szczególnie groźny zaczął się czas dla narodu polskiego, gdy po rozpoczęciu masowej akcji niszczycielskiej względem żydów rozpoczęła się analogiczna, również masowa eksterminacja niszczycielska względem Polaków na Zamojszczyźnie. O przejściach, męczeństwie i walce Zamojszczyzny z przemocą hitlerowską informuje nas „Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944”, podjęte przez znanego działacza społecznego i kulturalnego z czasów przedwojennych, doktora Zygmunta Klukowskiego. Już ukazał się tom pierwszy p. t. „Terror niemiecki na Zamojszczyźnie”. Tom drugi obejmujący materiały, ilustrujące ópór polski, i będzie nosił tytuł „Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944”, a tom trzeci będzie poświęcony specjalnie dywersji w Zamojszczyźnie. Dr Klukowski przebywał cały czas na terenie objętym

narzędziami z brązu. Zastosowali ją budowniczo osady ze względu na grząski grunt, celem rozłożenia ciężaru na większą ilość słupów. Wnętrza domów, przeważnie dwuizbowych, wyposażone były w podłogę z ciosanych belek dębowych, spoczywających na podkładzie z brzozywej faszyny.

Spomiędzy kamieni palenisk i ze szpar podłogi wydobyto przy rozkopywaniu osiedla wiele ziarna: pszenicy dwóch odmian, jęczmienia, prosa. Znaleziono również łodygi lnu. Różnorodność roślin uprawnych dowodzi niezbicie, że już od wieków w trudnił się prasłowiański mieszkańcy osady rolnictwem.

Hodowali też od dawna zwierzęta domowe: konia, krowę, kozę, owcę, świnie, o czym świadczą znalezione na terenie wykopalisk kości.

W obszernych izbach, na wielkich poliach, stały rzędami naczynia prasłowian: czerpaki i garnki kształtne, doskonale wypalone, częstokroć zdobione ornamentem rytym, inkrustowane białą masą, malowane ochrą, grafitowane i polerowane aż do metalicznego połysku. Widocznie dbali przodkowie nasi o piękno swego otoczenia, jeśli tyle uwagi poświęcali naczyniom codziennego użytku. Zapewne tedy i inne statki, drewniane, które się nie zachowały, były również „krajnie rzeźane”.

Pozostawili też po sobie prześliski gliniane, ciężarki do warsztatu tkackiego, szydła kościane, czótenka. Lubili odziać się godnie i przystroić, nosili odzież z płótna, niezależnie od możliwości istnienia tkaniny wełnianej, udziałanej z runa licznie hodowanych owiec. Lubowali się w ozdobach z brązu, jak naszyjniki, bransolety, pierścienie, szpile do spinania odzieży, klamry przy pasie. Wyrabiali te przedmioty sami, posługując się specjalnie formami odlewniczymi.

Tak żyli i pracowali mieszkańcy osady biskupińskiej 2.500 lat temu.

Tymczasem w licznych publikacjach niemieckich przedstawiani są nawet Polanie z VI—X wieku po Chrystusie jako ludność na wpół koczownicza, mieszkająca w szałasach lichy skleconych z gałęzi, okrywających się li tylko skórą zwierzęcą i żyjąca wyłącznie z polowania i rybołówstwa!

Przypominając dziś o cennych pracach wykopaliskowych, które winny być czym prędzej podjęte na nowo, i stwierdzając z dumą wysoki poziom cywilizacji przodków naszych sprzed 25 wieków, przypominamy zarazem o wdzięczności, jaką winniśmy prehistorii za obalenie oszczerstw zafalshowanej nauki niemieckiej.

Niech mi wolno będzie wyrazić na tym miejscu radość, że znakomity prehistoryk polski Józef Kostrzewski, odkrywca Biskupina, przetrwał okrutne czasy, kryjąc się po małych mieścinach pod przybranym nazwiskiem rzenieślnika.

Cześć pamięci jego syna, Przemysława, i innych młodych adeptów prehistorii, którzy padli ofiarą złej przemocy.

PIOTR ŻYNGIEL

Ferdynand Ruszczyk

Ferdynand Ruszczyk*). Imię to wywołuje w naszej wyobraźni szereg obrazów. Są to: „Ballada”, „Pustka”, „Przeżość”, „Bajka zimowa”, „Uchodźcy”,



FERDYNAND RUSZCZYK

a nade wszystko „Ziemia”, a więc dzieła przemawiające siłą walorów malarzkich i głębokiego nastroju. Weźmy „Balladę”. Pędzą konie, noc, wicher nagina ogromna drzewa, groza wieje od zwału chmur na niebie, chyba błyskawica je miejscami rozjaśnia — ciemno, zimno. Wyobraźnia snuje bajkę. A wszystkim znana „Ziemia” — tyle grozy w niebie — moc i potęgą niemal kosmiczną. Ciężka skiba ziemi, a po niej z trudem idzie oracz z parą wołów. Urasta obraz ten do rozmiarów symbolu zmagania się człowieka z przyrodą. Dzieło zrozumiałe dla wszystkich niezależnie od narodowości i środowiska. Wymownym znakiem tego, że Ruszczyk jest ceniony nie tylko u nas ale i za granicą, są ordery, którymi był dekorowany przez Francję, Portugalię i Hiszpanię. Jest on żywym dowodem „praktycznej wartości sztuki” — podobnie jak Paderewski stał się ambasadorem polskości, zmuszając do poznania, szacunku, a nawet podziwu dla polskiego imienia.

Miłość rodzinnego kraju u Ruszczyka to podnoszenie pod względem artystycznym wszystkiego, co go otaczało. Musiał nadać sztuce wszechobecność w życiu.

355 dotychczas skatalogowanych obrazów i szkiców, zasługujących na miano sztuki, nie wyczerpuje jego twórczości. Ilustruje książki, robi inscenizacje dla teatru (słynne dekoracje do „Nocy listopado-

*) Ktoby chciał bliżej poznać Ruszczyka, niech sięgnie do zbiorowej monografii artysty wydanej w Wilnie 1939 r. oraz do dzieł wnikliwego znawcy sztuki dr. Mariana Morełowskiego: Ferdynand Ruszczyk — „Człowiek i dzieło”, Wilno, 1937 r. „Katalog wystawy pośmiertnej”, Wilno, 1937 r. „Sa vie, son oeuvre”, Wilno, 1939 r.

wej”, „Lilli wenedy”, „Cyda” i t. p.), plakaty, medale, jest doradcą rzemieślników, ozdabia karty żywnościowe, projektuje znaczki, pragnąc by piękno przenikało wszystko i docierało do najszerszych warstw. A każdy projekt, niezależnie dla kogo jest robiony, odznacza się pedanterią i precyzją wykonania.

Urodzony w 1870 r., umiera w październiku 1936 r. w tym samym rodzinnym Bohdanowie pod Wilnem, gdzie stała jego kolebka. Tyle razy w swych pracach odtwarzał ukochaną ojcowiznę. Czuł, że człowiek ten nie bał się ani rannej rosy ani mgieł opadających o zachodzie słońca. Znajdował coraz to nowe podniety w niebie wiecznie pokrytym innymi obłokami. A przez cały ciąg swego życia wciąż powracał do swoich stron. Powracał, bo dużo wędrował po całej Europie. Studia średnie ukończył w Mińsku Litewskim, wyższe — wydział prawny i Akademię w Petersburgu. Zna go Krym, Rugia i Bornholm.

A jednak tęsknota przygnała go do kraju. Tu jako członek Krakowskiego Towarzystwa „Sztuka” bierze udział w jej wszystkich wystawach w kraju i za granicą. Sam organizuje dwukrotnie wystawę w Wiedniu. Boryka się z władzami carskimi, by ukochanemu Wilnu, które było z dala od wszystkich centrów umysłowości, pokazać dorobek sztuki doby ostatniej. Bo też ukończył ten gród tak, że rezygnuje ze stanowiska profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i przenosi się do Wilna. Wiele można by pisać o tym, co tam działo.

My, Wilnianie, znaleźliśmy wszyscy jego wytworną sylwetkę, piękną uduchowioną twarz i nieprzeparty urok obejścia. A jednocześnie był tak prosty, że potrafił porozumieć się z ciemnym białoruskim chłopem, ba, zostać jego przyjacielem. F. Ruszczyk był demokratą w całym tego słowa znaczeniu. Wszędzie, niezależnie od pochodzenia, zamożności, ogłady towarzyskiej, narodowości i wykształcenia, potrafił ten wielki człowiek znaleźć i ocenić człowieka.

Potrafił, gdy zajdzie tego potrzeba, walczyć o jego dobro nie tylko pędzlem i ołówkiem, ale i piórem i orężem.

W czasie wojny światowej wstąpił jako ochotnik do wojska. Jego odczyty zostały opublikowane w dziele p. t. „Liść wawrzynu i platek róży”.

Jakie miejsce zajmuje Ruszczyk w historii sztuki? Na to trudno odpowiedzieć. Nie można go wtłoczyć w ramy żadnego kierunku, Wschodu czy Zachodu. Oczywiście dadzą się znaleźć nici wiążące go z dominującymi prądami wśród malarzy rosyjskich, albo z impresjonistami francuskimi, lubującymi się w plenerze. Ale są to wszystko pokrewieństwa bardzo ogólne, będące wyrazem ducha czasu, czegoś, co ogarnia całą epokę.

Niektórzy chcą w Ruszczyku widzieć romantyka. Jeżeli romantyzm ma być protestem barwy wobec wszechwładnego pa-

nowania rysunku i bryły — protestem przeciw hegemonii linii, to wtedy oczywiście jest romantykiem. Ale przy tym dramatyczność treści, ogromna zwartość kompozycji, która działa jak akord, ogarnięcie wzrokiem całości, a potem lubowanie się w szczegółach, w bogactwie kolorytu na pierwszy rzut oka stłumionej gamy — to wszystko jest własne, indywidualne, będące wynikiem długiego czerpania z tego pierwszego źródła, jakim jest natura.

Prostu niezrozumiałym jest, dlaczego takiej miary artysta i człowiek nie stworzył szkoły. A przecież starał się dać z siebie dużo jako organizator Wydziału Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Stefa Bato-rego w Wilnie i jego długoletni dziekan, wykładowca Akademii Krakowskiej i Warszawskiej. Wykazał się jako prawdziwy przyjaciel młodzieży.

Z gromadką swoich uczniów potrafił o 5-ej rano wyjść na pejzaż. Nie mówił wtedy

o kładzeniu farby, ale pokazywał istotę życia, kazał widzieć piękno tam, gdzieśmy przechodzili nieraz obojętnie bez zrozumienia.

— Przecież ta ściana płacze — mówił o murze długiej, bezbarwnej kamienicy. I rzeczywiście zobaczyłem lzy starego, opuszczonego domostwa. Trzeba było oddać ten płacz osamotnienia.

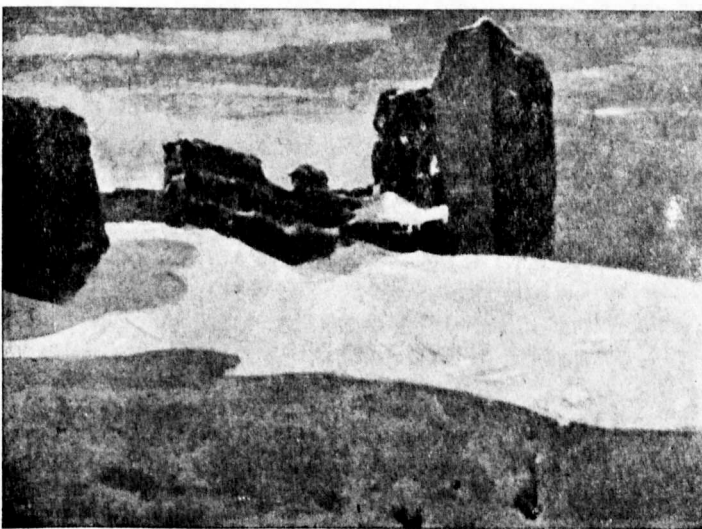
— Która godzina? — pytał kiedy indziej, robiąc korektę, gdy student skwapliwie sięgnął po zegarek. Uśmiechnął się: — Nie teraz — ale na obrazie.

Malowaliśmy kiedyś wnetrze: Widzi pan to krzesło (krzesło było wygięte od długoletniego użytku), tu siedział ktoś, wyszedł, ale został — malarstwo to nie tylko harmonia barw i kształtów — to coś więcej — oddanie istoty bytu.

Na ogół korekta jego przybierała zazwyczaj formę lakonicznych paradoksów, które

trzeba było rozumieć duszą, a nie czystym intelektem. Brakowało w jego wykładach gotowej recepty, brakowało konkretnych i dlatego garstka jego uczniów malała. Jedni poszli tam, gdzie można było nauczyć się techniki malowania, innych burza życiowa ode-rwała w ogóle od sztuki.

Dla mnie, który byłem jego uczniem i obcowalem z nim często, Ruszczyk jest żywym przykładem tego, jak do skarbnicy ogólnoludzkiej dochodzi się przez uchwycenie piękna rodzinnego krajobrazu.



F. RUSZCZYK

KREWO

WŁADYSŁAW MILCZAREK

MIODOBORY

*Rankiem słyhać, jak dzwonią wieże Poczajowa,
i widać na horyzont nanizane wioski,
a bliżej gdzieś spod ziemi dźwiga się dąbrowa
i wypełnia pod niebo ciepły jar podolski.*

*Słońce śmiało nagina łuki Miodoborów,
aż groty drzew sięgają skalistych majdanków,
tak cicho tu, ale później przyjdzie ktoś wieczorem
i będzie strzelał w stronę tatarskich kurhanów.*

*I wtedy w srebrne muszle zadną świerszcze w polu
i spręgną w rytm galopu tabun dzikich koni,
ktoś z meczetu półksiężyc rzuci nad Podole,
jak stalową podkową damasceńskiej broni.*

*Z serca stepu wystrzeli arkan jak kometa
i zamknie w srebrną pętlę Wielką Niedźwiedzicę,
czyjaś gwiazda zagaśnie daleko przed świtem
i ktoś będzie umierał twarzą do księżyca.*

*A rankiem znów zadzwonią wieże Poczajowa,
stanie dzień i sny nocne wygładzi i zetrze,
Miodobory przerosną zieloną dąbrowę
i wypłyną pod niebo w błękitne powietrze.*



F. RUSZCZYK

ORKA

o wysiedleniu Szczebrzeszyna i utworzeniu tam gminy niemieckiej, jedna praca o bestialstwie niemieckim podczas okupacji, a na końcu — fragmenty z notatnika partyzanta, poległego niemal w przeddzień wyzwolenia Zamojszczyzny w lipcu 44 r. przez Armię Czerwoną i oddziały polskiej partyzantki. Mamy więc w tym układzie pierwszego tomu uwzględnione wszystkie trzy fazy dziejów walki polsko-niemieckiej: fragment wojny regularnej, terror i męczeństwo, opór polski i wyzwolenie. Autorowie poszczególnych prac piszą obiektywnie, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności wobec historii i własnego sumienia. Podają fakty stwierdzające nie tylko przemoc, perfidię i okrucieństwo wroga, ale i fakty oporności społeczeństwa polskiego, nie pomijając jednak wypadków słabości, a nawet zaprzaństwa niektórych Polaków. Pomimo wysiłku autorów w dążeniu do przedstawienia prawdy straszliwa rzeczywistość zmusza ich pióro niekiedy do używania wyrazów, między którymi czytelnik czuje lepką krew katowanych ofiar i świętą cześć dla męczenników patriotyzmu i narodowości polskiej. W wielu pamiętnikach panuje nastrój religijny, którym karmili się więźniowie, chcąc utrzymać się w oporze

i mocy wewnętrznej, a ostatni w książce notatnik 21-letniego partyzanta, Bronisława Stefana Pyszki, abiturienta szkół zamojskich, poległego w lasach zamojskich pod Osuchami w czerwcu 44 r., kończy się modlitwą błagalną, pełną ufności ku Bogu, „że ich szczęśliwie uchowa i nie wyda w ręce katów niemieckich”. Tym akordem, tak podobnym do losów powstańców 63-go roku, kończy się księga 1-a „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach 1939—1944”.

Przyszły historyk będzie miał z pracy D-ra Klukowskiego i jego współpracowników nie tylko wiele materiału faktycznego, nawet statystycznego, nie tylko informacje o narastającym nasileniu akcji zbrodniczej okupanta przy jednoczesnym wzroście polskiego oporu, ale także i dokładne tło socjopsychologiczne uczestników walki na życie i śmierć. „Materiały”, wydane przez D-ra Klukowskiego posiadają także doniosłą wartość wychowawczą dla naszej młodzieży, która powinna dokładnie wiedzieć co, jak i dlaczego działo się w latach 39—44 na ziemiach polskich. Książka ta winna się znaleźć we wszystkich świetlicach, szkołach i instytucjach publicznych, gdziekolwiek są księgozbiory.

JAN SEWERYŃSKI

MUZYKA NARODOWA

„O pieśni gminna, ty stoisz za strażą narodowego pamiątek kościola z archanielskimi skrzydłami i głosem, ty czasem dzierżysz i miecz archaniola”.

(Z „Pieśni Wajdeloty” A. Mickiewicz)

Muzyka, będąca wyrazem najdoskonalszego idealizmu człowieka, stała się sanktuarium, w którym naród składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty”. Co umarło w życiu, to żyje w pieśni. Co było chlubą, sławą i szczęściem narodu, a pograżyło się w cieniu przeszłości, żyje w pieśni, ażeby stać się posiewem nowych tęsknot, pragnień, nadziei, które wpłyną na kształtowanie przyszłości.

Chcąc poznać charakter, zwyczaje i obyczaje danego narodu, należy przysłuchać się jego muzyce. Dlaczego muzyka stała się odbiciem i ostoją kulturalnej odrębności narodowej? Odpowiedź znajdziemy po uprzytomnieniu sobie naturalnych warunków powstawania i rozwoju muzyki. Początkiem muzyki był bezwiedny, instynktowy wyraz radości, uniesienia, smutku i żaloby, objawiony w rytmice tańca oraz w nieokreślonym zawołaniu, z którego pieśń powstała.

Obok naturalnych popędów ducha ludzkiego, przyroda, jako naturalne środowisko życia, posiada duży wpływ na rozwój i charakter muzyki; wpływ klimatu i otaczającej natury, koleje życia i losy duchowego i materialnego bytu ludu należą do tajemnic jego twórczości artystycznej. Różnice, istniejące pomiędzy danymi środowiskami natury, decydują w znacznej mierze o odmienności temperamentu i charakteru danego narodu i jego muzyki.

Z pojęciem muzyki narodowej łączy się ściśle muzyka ludowa. Oba te pojęcia stanowią ze sobą nierozdzielalną całość, będącą duchowym dorobkiem danej grupy narodowej. Samorodna i nieuczona muzyka ludowa, istniejąca i rozwijająca się od najdawniejszych czasów równoległe z muzyką artystyczną, nie posiadała na skutek swego prymitywizmu prawa obywatelstwa w oficjalnej sztuce muzycznej aż do chwili pojawienia się romantyzmu. Muzyka ludowa przechowuje się w tradycji jako niewzruszony kanon. Melodie ludowe śpiewają całe pokolenia, otaczając je wielką pieczołowitością. Tam, gdzie lud nie miał zbyt wielkiej styczności z muzyką miasta, szczególnie wśród mieszkańców gór, zachowały się najoryginalniejsze melodie sprzed ery naszego systemu dur i moll.

Mówiąc o muzyce narodowej, mamy na myśli muzykę uczoną, artystyczną, którą stwarzają przede wszystkim geniusze muzyczni, odznaczający się nadzwyczajną siłą uczucia i natchnienia, a nadający odpowiednio bogatą i kunsztowną formę twórczości swego wyobraźni artystycznej.

Wspólnym źródłem muzyki ludowej i narodowej jest prostota i szczerść natchnienia muzycznego. Różnicę ich stanowi stopień wewnętrznej dojrzałości i ilość włożonej pracy intelektu ludzkiego, decydującego o materialnym rozwoju sztuki, o bogactwie i subtelności jej środków.

Wzajemny stosunek muzyki do poezji wykazał trafnie A. Mickiewicz w jednym ze swych wykładów „Literatury Słowiańskiej”, mówiąc o poezji lirycznej. Oto niektóre myśli poety: „Jak piosnki ludu, rodząc się w chwilowym uczuciu osób częstokroć bardzo prozaicznych, ale wzruszonych rzetelnym natchnieniem, składają całość poezji ludu, tak podobnie muzyka narodowa, ludowa, jest zbiorem mnóstwa tonów, wydobywanych przez natchnienie muzyczne z dusz narodu. Słusznie owe tony oddzielne, wydobywające się nagle i niespodziewanie z piersi natchnionych, nazwano motywami. „Motivum” jest to coś, co sprawia ruch, nadaje popęd, jest to pierwiastek ruchu. Sama fizyka przyznaje, że ruch nie jest rzeczą materialną; motywa nie mogą pochodzić ani z materii, ani z pojęć oderwanych, są ideami. Dlatego niekiedy muzycy bardzo uczeni bywają ubodzy w motywa i szukają ich pod drzwiami karczmy, podsluchując wiejskiego skrzypka. Dlatego, jeśli który naród wpadnie w materializm, zaraz zbywa mu na motywach, przestaje tworzyć pieśni, muzyka jego ubożeje, może jeszcze być namiętna, udawać podlej-

szę wzruszenie ludzkie, ale nie tchnie zapałem czystym i twórczym. Bez muzyki zatem nie ma prawdziwej poezji lirycznej”.

Mickiewicz, mówiąc o upadku poezji, która porzuciła muzykę, miał na myśli klasycyzm, w którym sztuka stała się bezduszną, martwą formą, mając przecięte arterie, łączące sztukę z życiem. Dopiero romantyzm, zwracając się do sztuki ludowej, niezmienniej w swej odrębności i niezależności, dał poetom przedziwne baśnie i fantazje, a muzykom skarby szczerzego natchnienia, ukryte w piosenkach i tańcach ludowych.

Naród, który nie śpiewa, żyć przestaje swoją odrębnością duchową i gubi się w morzu innych kultur, innych narodów. Na-

JAN NAGRABIECKI

W sprawie poezji

Coraz częstsze ataki na niezrozumiałość w poezji powinny nasunąć niejedną refleksję o charakterze historycznym. Jedynie bowiem perspektywa historyczna może rzucić odpowiednie światło na zjawiska wersyfikacyjne i foniczne, będące także innowacjami w dzisiejszej nomenklaturze figur poetyckich. I dopiero tą drogą będziemy starali się szukać odpowiedzi na pytanie, gdzie leży przyczyna przemiany formy i po czyjej stronie wina albo słusność.

Bo zarzuty są bardzo poważne. Oskarża się poetę współczesnego o subiektywizm przeżyć, formy, o brak szczerzej chęci do kontaktowania się z szerszym ogółem; że pisze się wiersze — „lamigłówki”, „zagadki” i „rebusy”. Mówi się wprost o dekadencji poezji polskiej. Słowem, bije się na alarm.

odwrot, naród odradza się przez pieśń swoją, jak to widzieliśmy na narodzie czeskim, litewskim, a także na narodzie polskim w okresie po rozbiorach. Mickiewicz, Słowacki, Matejko, Szopen, Moniuszko i inni poeci, muzycy i malarze w sztuce swojej stworzyli Polskę duchową, wskrzesili Polskę zmarłą politycznie i wizją jej krzepili duszę narodu. Z jakiej skarbnicy czerpał Szopen motywy dla swoich nieśmiertelnych mazurków, w których niemiecki krytyk Schumann widział „armaty ukryte w kwiatach”?

Muzyka ludowa stała się podwaliną sztuki narodowej, dając jej swoje natchnienie i swą szczerą twórczość. Szopen czuł ducha muzyki ludowej jak żaden ze współczesnych. W mazurkach nie stosował bezpośrednio motywów ludowych, lecz przetapiał je w swej duszy artystycznej w nowe melodie, będące odbiciem muzyki ludowej, będące echem naszej wsł mawieckiej, w której spędzał swe młode lata.

Szopen i Moniuszko jako twórcy polskiej muzyki narodowej dopełniają się wzajemnie. Pierwszy, jako artysta o wielkiej kulturze wszech europejskiej, rozniósł naszą sławę po szerokim świecie i wskazał drogę rozwoju dla muzyki poszczególnych narodów. Moniuszko natomiast dał pierwszy naszemu społeczeństwu muzykę narodową w postaci setek pieśni, w postaci opery narodowej. Szopen podniósł polską muzykę narodową do wyżyn wszechludzkiej doskonałości. W Szopenie skojarzyły się w sposób najdoskonalszy pierwiastki polskiej muzyki ludowej z kulturą muzyczną, którą intelekt ludzki rozwijał przez wieki, a która w Szopenie znalazła swój najwyższy wyraz.

„Podnoszenie ludowych natchnień do pojętej przenikającej i organizującej ludzkość cała, podnoszenie ludowego do ludzkości, oto jest zaśpiew na sztukę narodową” — tak powiedział Cyprian Norwid w swym „Promethidionie”.

Ale czy ten alarm nie jest fałszywy?

Fakty te mają fundamenty silnej tradycji w historii każdej sztuki. Jest to tradycyjne nieporozumienie pomiędzy twórcą a konsumentem. Wynika ono z naturalnego dystansu pomiędzy poetą a współczesnym społeczeństwem. Przyczyną dystansu jest między innymi historyczna ewolucja stosunku poety do słowa, będącego poetyckim tworzywem i podstawowym elementem kompozycyjnej architektury całości. Od futurystycznej impresji Marinettego i Majakowskiego, poprzez francuski dadaizm i surrealizm wizji, do polskich strof skamandryzmu i awangardowych koncepcji, po socjalistyczny realizm, datują się problemy nowej myśli i nowych objawień życia artystycznego. Istotą przemiany struktury techniki pisarskiej, poza prze-

mianą struktury ekonomicznej, politycznej i socjologicznej, jak to wykazał Adam Ważyk w 12 numerze „Kuźnicy” („U źródeł nowatorstwa w poezji”), jest sam proces twórczości poety. Uporać się ze słowem, wykorzystując wszystkie jego walory, wydobycząc maximum ekspresji intelektualnej czy emocjonalnej, drogą zestawienia, metaforycznego wiązania i łączenia — oto właściwa istota działania twórczego. A ile tak zwana kuchnia albo kuźnia poetycka wymaga samozaparcia się i rezygnacji w bogactwie efektywnych rac strzelającej myśli na rzecz czystej, szlachetnej tonacji utworu, wiadomo jedynie temu, kto ma do czynienia z t. zw. alchemią słowa w tyglu tajemniczego misterium, jakie odprawia sam z sobą poeta.

Droga to jednak jedyna do odkryć i wynalazków, będących później przedmiotem badań filologicznych i estetycznych. Podlega ona również rozbiorowi wersyfikacyjnemu, który zjawiska osiągnięć artystycznych zapisze szyfrem terminologii naukowej, posegreguje i poklasyfikuje.

Prawdziwy twórca przeżywa momenty wyzwalania się duchowego z materii. Rzetelny i szczerzy poeta, jak każdy inny artysta-twórca, jest narażony na upartą walkę z materią i o wiele dotkliwiej czuje swoją zależność od materii niż przeciętny ogół czytelników. Ale też i jego udziałem są nieznanne sfery przeżyć dla konsumenta: rozkosz jej przezwyciężenia. Czy to bryła marmuru, plama barwy lub dźwięk — pracą natchnionego wysiłku ujmując zespół poszczególnych elementów w tryby jedynie sensownego nakazu twórczego, rodzi on nowy twór dzieła sztuki.

Powstawanie kierunków literackich i t. zw. szkół poetyckich jest niezaprzeczoną dowodem naturalnej, zdrowej ekspansji, przejawiającej się w wyprawach odkrywczych po lądy nowych objawień, na dalekich preriach nieznanych jeszcze możliwości, zakreślających drogą niespodzianki nowe horyzonty na własnym zdawałoby się udeptanym gościńcu. Romantyzm w poezji jest rewolucją w stosunku do minionych przekonanych i wyznań poetyckich. I każda epoka w perspektywie historycznej przynosi pewien rodzaj literackiej „bomby atomowej” wobec przeszłości. Wreszcie sam proces twórczy jest łamaniem utartego konwensu artystycznego. Nie możemy wymagać od poety dzisiejszego, żeby pisał à la Mickiewicz, tak jak nie możemy również wymagać od architekta, żeby budował w stylu renesansowym czy secesyjnym, i żądać od malarza, żeby malował „pod” Rembrandta. Nikomu z nas nie powstanie nawet taka myśl w głowie, żeby się ubrać w cylindera i frak XVIII wieku albo ubrać żonę w krynolinę i wyjść na miasto. Znacznie pożyteczniejsze będzie i dla twórców i dla nas, jeśli zechcemy uchwylić myślą i pojąć uczuciem sens przemiany artystycznego kształtu w poezji polskiej epoki, do której sami należymy, a która ma swoje poważne racje i przyczyny nie tylko natury artystycznej, ale tkwiące u podłoża sytuacji i warunków życia ekonomicznego, socjologicznego i politycznego.

HELENA PLATTA

PIOSENKA NA ULICY

*Ot, chodzą po podwórkach i grają
czterej młodzi chłopcy z małym banjo.*

*Grają tanga egzotyczne, zmysłowe,
zwiewne walce wiosenne, różowe,
a melodia refrenem powraca:
wciąż tęsknota, gdy walczyk się zaczął,
wciąż wezwanie, uśmiechy i lezka...*

*W małym banjo ktoś wszystko pomieszał,
bo oto w walczyków melodii
nagle piosnka żołnierska się modli: —*

*— — — Przybyli ulani, panienko, —
naprzeciw ktoś otworzył okienko
i jak lzy kapią grosze, drobniaki,
— „Grajcie jeszcze, ach jeszcze chłopaki!”.*

*A włąć grali: o wojence, o pani,
jak ginęli chłopcy malowani,
jak to borem i lasem szli jesienią,
a po drodze zamiast krwi mak czerwieniał,
jak na marne rzucili swe losy
jak szli głodni, obdarci i boski.*

*Ot, dziś chodzą po podwórkach i grają
czterej młodzi chłopcy z małym banjo...*

*Może kiedyś te skrzypczki, gitary,
przyjdzie czas, że zamienią się czarem
na zwycięskie karabiny, co złamią
przemoc wroga ognistymi kulami?!
— Ach, bo oto w walczyków melodii
często piosnka żołnierska się modli,
gdy tak chodzą po podwórkach i grają —
czterej młodzi chłopcy z małym banjo.*

ZYGMENT SZCZEPAŃSKI

O upowszechnieniu muzyki słów kilka¹⁾

Dużo mówi się dzisiaj u nas o t. zw. upowszechnieniu kultury w ogóle, a muzyki w szczególności, wśród najszerszych mas społeczeństwa. próbuje się nawet sprecyzować metody postępowania, „uspołeczniać” niejako muzykę, uczynić ją dostępną i „zrozumiałą” dla wszystkich... Z tonu artykułów ukazujących się w prasie można wyczuć niedwuznaczny apel do twórców i odtwórców sztuki muzycznej, aby zstąpili z piedestału „wielkiej” sztuki do „niższej” sztuki, do mas, aby muzyka stała się chlebem codziennym wszystkich mas pracujących i t. d.

Jest to niezmiernie charakterystyczne dla naszych stosunków nieporozumienie, coś jak przysłowiowe „wyważanie otwartych drzwi”. Otóż wydaje nam się, iż problem „uspołecznienia” muzyki, owo nawoływanie, aby muzyka zniżyła się do mas, weszła w masę i t. p. jest co najmniej grubo spóźnione.

Muzyka jest bodaj jedyną wśród wszystkich sztuk pięknych, która nigdy w swej historii nie odgradzała się murem przesądów kastowych, politycznych czy społecznych, przeciwnie, zawsze dążyła do mas, do ogółu, szukała w nich oddźwięku, poparcia i „zrozumienia”. Nie słyszano również, aby ktokolwiek dzielił muzykę na szlachecką, artystyczną, chłopską czy demokratyczną, bo w istocie swej i dążeniach była zawsze demokratyczna. Narodziła się w ogóle z ludu, z masy, niemal na ulicy. Ulica, plac, rynek, później podwórzec zamkowy (trubadurzy, truverzy, minnesingerzy, muzykanci, grajkowie, kuglarze), były jej domem.

Gawiedz miejska, lud, panowie, szlachta, słowem wszystkie stany, były jej odbiorcami. W miarę jednak swego rozwoju, w miarę udoskonalenia i wysubtelnienia instrumentów, którym się posługiwała, zaczęła szukać schronienia pod dachem i całkiem przypadkowo znalazła się w salonie. Ale i tam było jej źle, za ciasno, zatęskniła znowu do mas i poszła do sal koncertowych, teatrów, kościołów. Nigdy więc nie uciekała od mas, wręcz przeciwnie, szukała tylko zawsze i szuka do dziś „dachu nad głową”, spokojnego bytu, zrozumienia i oddźwięku u wszystkich, dosłownie u wszystkich bez różnicy nie tylko stanu społecznego, ale bez względu na wyznanie, narodowość, język, muzyka bowiem jest w całym tego słowa znaczeniu sztuką ogólnoludzką i nie tylko dostępną dla wszystkich, ale wdzierającą się przemocą do wszystkich, którzy serce i uszy mają.

Ze dotąd nie stała się sztuką mas, to już nie wina muzyki, ani nawet muzyków.

Nad tym właśnie należałoby się zastanowić głębiej.

Dziwnie to zaiste, że właśnie dziś, dopiero dziś, po tylu wiekach istnienia i fantastycznego wprost rozwoju tej sztuki, zastanawiamy się jak „upowszechnić” jak udostępnić, uczynić „zrozumiałą” muzykę, która niemal od zarania dziejów towarzyszy ludzkości od kołyski aż do grobu. „Upowszechnić” muzykę, która w dzień i w nocy wdziera się przemocą do naszych zbolętych uszu z każdego głośnika, z każdej kawiarni, restauracji, cyrku, kina, „wrzeszczy” do nas niemal z każdego domu, podwórka, ulicy.

Otóż istota rzeczy.

Należałoby przede wszystkim zmienić słownik, aby nie było tak częstych u nas, niestety, nieporozumień, o jaką tu właściwie muzykę chodzi, co nazywamy muzyką przez wielkie „M”, a co muzyką przez „m” małe, którą muzykę należałoby upowszechniać, a którą izolować.

Wyznając, że to dla nas arcytrudne zadanie, chociaż Grecy z czasów Platona doskonale dawali sobie z tym radę.

My, muzycy, wiemy coś niecoś o tym, ale nas się w ogóle nigdy nikt o to nie pytał i mam wrażenie, że nadal nie pyta.

Dowodem tego powściągliwe milczenie muzyków w prasie i chaos ogólny dokoła zagadnienia upowszechnienia muzyki.

¹⁾ Redakcja „Zdroju”, uważając za rzecz pożyteczną przedyskutowanie publiczne aktualnych zagadnień dotyczących kultury i sztuki — umieszcza niniejszy artykuł jako podstawę dla dyskusji na temat upowszechnienia muzyki. Prosimy o nadsyłanie wypowiedzi pismem maszynowym.

Gdyby się mnie ktoś np. zapytał, kto się u nas muzyką w ogóle zajmuje? — nie umiałbym odpowiedzieć. Zdaje mi się, że wśród instytucji powołanych — Związek Muzyków najmniej.

Przecież wojsko ma swoje orkiestry dęte i „symfoniczne”, dyrekcje kolei dają koncerty, Milicja też, cukrownie tworzą orkiestry „symfoniczne”... Wszyscy u nas upowszechniają muzykę; koncerty urządzają i teatry i kina, cyrk, szkoły powszechne, średnie, uniwersytety, związki młodzieżowe, Czerwony Krzyż — słowem zapytać by raczej należało, kto u nas nie urządza koncertów, kto nie upowszechnia muzyki.

Najmniej zdaje się jednak robią to muzycy.

Rezultaty są — wszyscy grają, śpiewają, wszyscy piszą o muzyce i znają się na niej — więcej niż muzycy.

Wszyscy mają fortepiany — tylko muzycy nie mają na czym grać, wszyscy mają orkiestry „symfoniczne” — tylko muzycy nie mogą skompletować orkiestr symfonicznych, bo olbrzymi procent dobrych wiolonczelistów gra w wojskowych orkiestrach „symfonicznych”... z fortepianem, z akordeonami, bo fagociści, którzy mogliby grać w prawdziwej orkiestrze symfonicznej, grają w wojsku czy w orkiestrach kolejowych na... barytonie, fleciści na... es klarncie, a waltorniści na kornetach albo na puzonach.

Słowem chaos, chaos nieprawdopodobny, marnowanie wysiłków i ludzi niecelową, bezowocną i dyletancką robotą.

Myślę, że czas by już było, aby o muzyce i jej losach decydowali muzycy z Ministerstwem Kultury i Sztuki na czele; o oświacie — oświatowcy, wojskowi — o sprawach wojskowych.

Dla nas muzyków problem upowszechnienia muzyki jest bardzo prosty i jasny. Widzimy go bardzo wyraźnie, a drogi, środki i metody mamy dawno sprecyzowane.

Upowszechnienie kultury muzycznej widzimy przede wszystkim w obowiązkowym, solidnym, pełnowartościowym nauczaniu śpiewu i muzyki w szkołach powszechnych, średnich i wyższych (audycje, koncerty, wykłady o muzyce), w dobrej muzyce i śpiewie w kościołach...

Fundamentalnym zagadnieniem upowszechnienia muzyki, dobrej muzyki, właściwej muzyki jest kościół, jako instytucja, która daje dziecku pierwsze wrażenia muzyczne poza domem i szkołą wszystkich stopni, dająca elementarne wiadomości o muzyce. Na tych podstawach dopiero możemy opierać upowszechnienie poprzez audycje, koncerty, pogadanki i t. p.

Jakże bowiem można upowszechniać malarstwo wśród niewidomych, literaturę i poezję wśród analfabetów?

O muzyce jak i o literaturze, czy o malarstwie, trzeba też coś nie coś wiedzieć, coś nie coś słyszeć, trzeba się jej w ogóle nauczyć słuchać.

Ponadto trzeba nam sal koncertowych, fortepianów i środków lokomocji (kilka-dziesiąt autobusów), a resztę zrobimy sami.

Upowszechnimy muzykę bardzo prędko, dotrzemy z nią wszędzie, do wszystkich zakątków kraju, sami, spontanicznie, boć upowszechnienie muzyki było, jest i będzie naszym najistotniejszym programem i leży u podstaw sztuki muzycznej w ogóle.

Przed wszystkim musimy pomyśleć o młodzieży, ją przygotować i wychować. Obok kościoła i szkoły najważniejszą bodaj rolę w upowszechnieniu muzyki odgrywają chóry amatorskie (i zawodowe) wszystkich typów: dziecięce, dwu-, trzy- i czterogłosowe mieszane i męskie. Chór bowiem jest tą najprostszą, idealną formą wyżycia się muzycznego dla każdego człowieka na wszystkich stopniach kultury i stanu społecznego. Jest on w ogóle niezastąpioną wprost formą wychowania nie tylko muzycznego, ale i społecznego.

Rolę chóru w scalaniu społeczeństwa i zarazem wychowaniu go w kierunku muzycznym dawno już rozumiały narody zachodnie, północne (Łotwa, Estonia, Finlandia) i południowe (Bułgaria, Jugosławia, Węgry, Czesi).

My natomiast nie umieliśmy wyzyskać tego czynnika nie tylko w celu umuzykal-

nienia mas, ale nawet jako środka uspołeczniającego i scalającego masy. Traktujemy chór nadal po macoszemu, nie doceniaemy (wykreślamy go w ogóle ze szkoły) lub wyzyskujemy chaotycznie, po dyletancku.

W Anglii, Niemczech, krajach Bałtyckich, w Bułgarii, Czechach i Jugosławii chór amatorski jest już od dawna instrumentem muzycznym w całym tego słowa znaczeniu, instrumentem artystycznym, który pełni swoją szczytną rolę artystyczną, budzi zamiłowanie do muzyki, krzewi pieśń ludową i artystyczną wśród szerokich mas, jest dźwięgnią prawdziwej kultury muzycznej.

Wystarczy porównać ilość, a przede wszystkim jakość chórów bułgarskich, jugosłowiańskich, czeskich czy estońskich z ilością (!) i jakością naszych chórów, aby stwierdzić, że jesteśmy jeszcze w powi-
jakach w tej dziedzinie.

Dotąd nie wykształciliśmy dyrygentów - chórmistrzów, którzy by byli muzykami-fachowcami w tej dziedzinie, przeciwnie dotąd nie wiemy, kto to jest dyrygent chóralny — fachowiec-muzyk czy dyletant.

Chóry u nas, prowadzą wszyscy: klarnciści, puzoniści, kto chce, a najczęściej byli chórzyci, którzy nie odróżniają krzyżka od bemola i nie mają niekiedy elementarnego wykształcenia muzycznego.

Rezultaty są również odpowiednie — przeciętny inteligent wstydy się śpiewać w chórze, zniechęcony i zgorzchniony naszym oplakany często poziomem chórów kościelnych i świeckich, szczególnie na prowincji. Nie dotykam już wcale repertuaru

naszych chórów, który jest pożałowania godny.

Z kolei niesłuchanie ważnym środkiem do upowszechnienia muzyki jest uświadomienie społeczeństwa o muzyce w ogóle i jej roli wychowawczej i kształcącej. Wiedzieli już o tym Grecy z czasów Platona, który stawiał ją na pierwszym miejscu w wychowaniu. My również, chociażby dopiero dziś, powinniśmy zrozumieć, że kulturalny człowiek to nie tylko ten, który umie czytać i pisać, posługiwać się zdobyczami techniki: elektrycznością, radiem, umie odróżniać marki samochodów, boks od piłki nożnej, ale taki i przede wszystkim ten, który odróżnia Gierymskiego od Rodakowskiego, Mickiewicza od Norwida i... Szopena od Moniuszki i Szymanowskiego.

Na koniec wymienimy radio, audycje szkolne i młodzieżowe (pozaszkolne) na wszystkich stopniach, nie tylko w szkołach średnich, ale i powszechnych i na uniwersytetach, a także audycje i koncerty z objaśnieniami i odpowiednio dostosowanym programem dla mas pracujących i wsi; koncerty popularne i t. d.

Oto mniej więcej drogi, którymi winniśmy iść, chcąc umuzykalnie szeroki mas wprowadzić w czyn. Chcąc ten cel osiągnąć, powinniśmy przede wszystkim przeprowadzić należyty podział kompetencji, zorganizować fundamenty, t. j. szkołę, kościół, chóry, wyzyskać należycie i wszechstronnie sale koncertowe i zmobilizować środki lokomocji i instrumenty (forteplany), a wówczas umuzykalnienie mas przestanie być pustym frazesem i przerodzi się w realny, pozytywny czyn!

BIBLIOGRAFIA O B. PRUSIE²⁾

(Vide Nr 7 „Zdroju” z 1 grudnia 1945 r.)

- 1881
Al. Świętochowski: Samogwałt Prusa, „Prawda” Nr 45.
- 1885
T. Choliński: Nowele B. Prusa. Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele. Warszawa, 1886.
- J. G.: Al. Głowacki, „Kłosy”.
- T. Jeske-Choliński: Bol. Prus, „Echo muz. i teatr.”.
- A. Dygasiński: Studium o Prusie, „Przegląd tygodniowy”.
- 1888
T. Jeske-Choliński: Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej. Warszawa.
- 1890
J. L. Popławski: Świat marionetek, „Głos” (toż w „Szkiecach lit. i nauk”, 1910).
- A. Świętochowski: Al. Głowacki, „Prawda”.
- J. Kotarbiński: Powieść mieszczańska, „Tyg. Illustr.”, Nr 10-11.
- P. Chmielowski: Lalka B. Prusa, „Ateneum”, marzec.
- Bogusławski: B. Prus, „Biblioteka Warsz.”, I.
- T. T. Jeż: O Lalce B. Prusa.
- 1892
P. Chmielowski: B. Prus i jego Drobiazgi, „Ateneum”, listopad.
- 1893
St. Krzemiński: O nieśmiertelności (Zarysy literackie), artykuł o Emancypantkach.
- 1894
A. Kraushar: Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości (kartki hist.-lit.) Kraków.
- 1895
P. Chmielowski: Al. Głowacki, „Nasi powieściopisarze”.
- 1897
P. Chmielowski: Prus, jako nowelista, „Kurier Codzienny”, Nr 1.
- I. Matuszewski: Prus i Sienkiewicz, „Kurier Codzienny”, Nr 1.
- P. Chmielowski: B. Prus o Egipcie, „Ateneum”, II.
- Merczyng: Koniec świata u Prusa, „Kurier Warszawski”, Nr 33.
- I. Matuszewski: Nowy zwrot w twórczości Prusa, „Przegląd Tygodniowy”.
- P. Chmielowski, A. Dygasiński, I. Matuszewski, J. Kotarbiński i inni: Artykuły o Prusie w Nr 1 „Kuriera Codziennego”.
- J. Sten: Dwa jubileusze, II B. Prus, „Krytyka”.
- T. Jeske-Choliński: B. Prus, „Kur. Warsz.”, kwiecień.
- G. Dollński: Z księgi pamiątek, „Kurier Codzienny” Nr 1.
- C. Jellonta: Dwie epopee kupieckie, „Życie” (oraz w „Ateneum”, 1903).
- J. Ochowicz: Przed trzydziestu laty, „Kurier Codzienny”, Nr 1).
- 1898
W. Horodyński: O najogólniejszych ideałach życiowych Prusa, „Głos”, I, Nr 6.
- P. Chmielowski: Zarys najnowszej literatury polskiej, Kraków.
- I. Matuszewski: Prus i Sienkiewicz, „Swoi i obcy”, W-wa, 2-gie wydanie w r. 1903.
- 1899
A. Lange: B. Prus, „Tydzień”.
- 1900
P. Chmielowski: Hist. lit. polsk., t. II, W-wa.
- Merczyng: Dumania przyrodnika, Petersburg.
- 1902
Choret: Alex. Głowacki, „La Revue”, 1902, Nr 14.
- Sitrnik: B. Prus, „Revue bleu”.
- 1904
G. Dollński: Wspomnienia o latach młodzieńczych B. Prusa, „Pamiętnik lubelski” na r. 1904.
- I. Matuszewski: Fantastyzm u Prusa, „Twórczość i twórcy”, W-wa.
- M. Gawalowicz: Ze wspomnień o koledze Prusie, „Rozwój”, Nr 276, Łódź.
- 1906
J. Sten: Szkice literackie, Lwów.
- 1907
St. Brzozowski: Współczesna powieść polska, Stanisławów, Weman.
- J. M. Muszkowski: Zakapturzony romantyk („Sumienie ruchu”), W-wa.
- St. Tarkowski: Hist. lit. polskiej, VI, Kraków.
- 1908
Jacymirski: Nowiejnaja polskaja literatura, Petersburg.
- 1911
W. Lutostawski: Prus, obrońca ziemi, „Iskierki Warszawskie”, W-wa.
- A. Potocki: Polska lit. współczesna, I, str. 22-29, 244, 266-268.
- 1912
J. Lorentowicz: Prus w Papieżu, „Tyg. Illustr.” Nr 22.
- I. Chrzanowski: B. Prus, „Kur. Warsz.”.
- Wł. Korotyński: Lalka B. Prusa (Nie wydrukowany ustęp powieści), „Kur. Warsz.”, Nr 151.
- Artykuły o Prusie w „Tyg. Illustr.”, Nr 22 (po śmierci).
- B. Chlebowski: B. Prus, „Książka”, Nr 6 i w „Pismach”, IV.
- Świeżawski: Wspomnienie ze Sakoty Głównej, rękopis u St. Dembego.
- 1913
K. Wojciechowski: B. Prus, Lwów, wyd. II, 1925.
- A. Leo Rose: Prus, jako artysta, „Echo lit. artyst.”, maj, str. 535 i nast.
- Rettinger: Notatki o pozytywistach, Lwów.
- 1914
J. Kotarbiński: Ramzes. Ze wspomnień o Prusie, „Tyg. Illustr.”, Nr 22.
- 1916
K. Tetmajer: B. Prus. Notatki literackie, W-wa.
- 1917
J. M. Muszkowski: Sumienie ruchu. Zakapturzony romantyk. Powieści B. Prusa, str. 113-130, W-wa, Wende (artykuł 2 maja 1912 r.).
- 1918
W. Feldman: Współcz. lit. pol., W-wa, str. 86.
- M. Mann: B. Prus, w „Encyklopedii Polskiej Akad. Umiejętności”, t. XXII, str. 170-173.
- L. Włodęk: B. Prus. Zarys społeczno-literacki, W-wa, Geb. i Wolff.
- 1922
I. Chrzanowski: B. Prus. Przemówienie na pogrzebie, „Wśród zagadnień książek i ludzi”, Lwów.
- Z. Wasilewski: Ideal doskonałości B. Prusa, „Tyg. Illustr.”, Nr 23.
- J. St. Bystroń: Wyobraźnia artystyczna B. Prusa, „Przegląd Warszawski”, sierpień.
- A. Grzymała Siedlecki: Mickiewiczowski ton u Prusa, „Rzeczpospolita”, Nr 135.
- A. Grzymała Siedlecki: W dziesięciolecie śmierci Prusa, „Tyg. Illustr.”, maj.
- 1923
M. Szykowski: Współcz. lit. polska.
- B. Gawęcki: Filozofia teoretyczna B. Prusa, „Przegląd Warszawski”, Nr 18.
- 1924
Z. Wasilewski: Al. Głowacki (B. Prus), „Współczesni”, W-wa.
- W. Feldman: „Piśmiennictwo polskie”, (1905) i Współczesna lit. polska” w oprac. Lama.
- Z. Szwajcyk: Przeżyca osobiste Prusa w „Faraonie”, „Tyg. Illustr.”, Nr 31-34.
- Al. Brückner: Hist. lit. polskiej, II, W-wa. (dok. nastąpi w Nr 3)

DR J. GAJEK

Towarzystwo Ludoznawcze

W ubiegłym dopiero co roku, u progu nowej epoki historycznej państwowości i narodu polskiego, niemal bez echa minęło pięćdziesięciolecie istnienia Towarzystwa Ludoznawczego, które, wraz ze swym czasopiśmie „L. u d”, było jedyną na większą skalę zakrojoną instytucją badawczą poświęconą kulturze ludowej. 36 roczników „Ludu” ukazującego się od 1895 roku było kopalnią wiadomości o kulturze materialnej, duchowej i społecznej ludu polskiego; są one i nadal skarbnicą ginącego zwyczaju i obyczaju, ciągle zmiennej przeważnie bezimiennych twórczości ludu. Lata wojny położyły i w tej dziedzinie kres; dobytek materialny, archiwa i zbiory — wszystko to bądź uległo zagładzie, bądź rozproszyło się po świecie. Obecnie, gdy żywioł chłopski jako najliczniejszy, kulturowo najbardziej zwarty, wkracza pełen samowiedzy na widownię historyczną i bierze na siebie brzemień odpowiedzialności dziejowej, dorobek Towarzystwa Ludoznawczego posiada specjalne znaczenie. Ludoznawstwo, etnografia, jako historia kultury ludowej, poza celami czysto naukowymi, posiada walor dodatkowy, może być środkiem służącym do pogłębiania samowiedzy chłopstwa polskiego, a więc i całego narodu. Materiały etnograficzne mają też pierwszorzędne znaczenie dla socjologii wsi.

W poczuciu ważności tej dziedziny wiedzy, przedwojenni członkowie Towarzystwa Ludoznawczego podjęli inicjatywę nawiązania do dawnych tradycji. Znalazło to swój wyraz na dwudziestym walnym zebraniu Towarzystwa, które odbyło się 22 listopada 1945 roku w Lublinie. To pierwsze w odrodzonej Polsce zebranie ustaliło jako nową siedzibę Towarzystwa kresowe i uniwersyteckie miasto — Lublin. W związku zaś z programem prac Towarzystwa postanowiono w skład Zarządu i redakcji wciągnąć wszystkich polskich etnografów starszego i młodszego pokolenia, aby w ten sposób stworzyć podstawę do zbiorowych wysiłków badawczych. Zgodnie z tym założeniem wybrano na prezesa prof. dr. Kazimierza Moszyńskiego, prof. dr. Jana Czekanowskiego oraz prof. dr. Leona Halbana na wiceprezesa, doc. dr. Józefa Gajka na sekretarza, dr. R. Reinfuśa na wicesekretarza oraz na członków zarządu: prof. dr. J. St. Bystronia, prof. dr. K. Dobrowolskiego, prof. dr. E. Frankowskiego, dr. S. Klimaszewską, nac. J.N. Kłosowskiego, dr. J. Manugiewicz, prof.

dr. J. Mydlarskiego, doc. dr. J. Obrobskiego, doc. dr. B. Stelmachowska, dyr. J. Świążego, dr. K. Zawistowicza. W skład redakcji „Ludu” weszli: mgr W. Dynowski, doc. dr J. Gajek, mgr M. Gładysz, mgr A. Kutrzebianka, mgr L. Malicki, prof. dr T. Seweryn, dyr. T. Szeligowski, dyr. dr J. Zborowski, dr M. Znamierowska - Prüfferowa.

Dyskusja walnego zebrania nad programem Towarzystwa Ludoznawczego ustaliła, że Towarzystwo rozpocznie wydawanie dalszych tomów „Ludu”, przy czym pierwszy powojenny tom obejmie sześć minionych lat. Roczniki „Ludu” będą miały charakter etnograficzno-etnologiczny z wyłączeniem materiałów opisowych. Na treść składać się będą prace o charakterze syntetycznym, recenzje, przegląd bibliograficzny literatury światowej. Czasopismo to reprezentować będzie naukę polską wobec zagranicy.

Materiały etnograficzne o charakterze opisowo-przyczynkarskim oraz materiały ankietowe dostarczane przez najstarsze koła miłośników kultury ludowej będą publikowane w osobnych tomach pod tytułem „Materiały etnograficzne”.

Trzecim działem publikacji Towarzystwa będzie „Polski atlas etnograficzny”. Będzie on nawiązaniem do „Atlasu kultury ludowej w Polsce” prof. dr. Kazimierza Moszyńskiego, którego trzy zeszyty ukazały się przed wojną. Treść ich zostanie powtórzona w nowej szacie graficznej i w nowym opracowaniu. Prof. dr K. Moszyński ofiarował Towarzystwu Ludoznawczemu bardzo obite swoje materiały, które wejdą w skład nowego atlasu. Podstawę prac nad atlasem stanowią: 1) sieć stałych korespondentów, pracujących przy pomocy ankiet, oraz 2) archiwum materiałów, rysunków i fotografii. W skład archiwum wejdzie materiał ankietowy, materiał muzeów etnograficznych oraz materiał publikowany. Do pracy tej postanowiono wciągnąć nie tylko etnografów, ale najszerze rzesze miłośników kultury ludowej, a więc: nauczycieli, młodzież licealną i akademicką, działaczy oświatowych wiejskich. Na tym więc miejscu apeluje Towarzystwo Ludoznawcze do czytelników „Zdroju” o listowne zgłaszanie współpracy do Redakcji.

Nakreślony plan pracy opiera się w swoim zasadniczym zrebie na ofiarnej pracy, nie mniej jednak realizacja jego zależeć będzie w dużej mierze od pomocy rządu.

K R O N I K A K U L T U R A

W PARYŻU ZORGANIZOWANO POLSKIE WIECZORY LITERACKIE

Ostatni wieczór literacki Tow. Literatów Polskich w Paryżu poświęcony był twórczości Zofii Nawrockiej, literatki lwowskiej, która po przejściu przez więzienie hitlerowskie przebywa obecnie w Paryżu.

ŚRODY LITERACKIE W LUBLINIE

Klub Literacki Lubelskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów, pod kierownictwem prezesa Oddziału i Klubu znakomitego badacza literatury prof. Juliusza Kleinera, w ostatnim kwartale ub. r. urządził kilka wykładów publicznych w gmachu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: doc. Marii Dłuskiej — „Język codzienny a rodzaje literackie”, prof. S. K. Papierkowskiego o poezji serbskiej (w przekładach prelegenta), prof. Henryka Elzenberga „Tytus Lukrecjusz Karus w dwutysięczną rocznicę śmierci”, prof. Leona Halbana „Problematyka kultury niemieckiej”. Dużo publiczności zgromadził w auli odczyt jednego z czołowych przedstawicieli między-

narodowego świata nauki prof. Jana Czekanowskiego „Polska — Słowiańszczyzna. Tezy antropologa”. Z wielkim uznaniem przyjęło też społeczeństwo inicjatywę urzędnika akademii ku czci Bolesława Prusa, ze słowem wstępnym prof. J. Kleinera „Pisarz wielkiego serca” i odczytem dr. Feliksa Araszkiewicza „Bolesław Prus a nowa epoka”.

Poza tym poświęcono dwie środy literackie dyskusji na ciekawe tematy: „Lubelskie przedstawienie teatralne Zemsty”, z udziałem Karola Borowskiego i red. W. Gralewskiego, następnie — „Teatr marionetek”, w lokalu teatru kukielkowego „Bemol”, z omówieniem jego założeń przez dyrekcję w osobach Stanisławy Szeligowskiej i Jarosława Kawy oraz szkicem historycznym Marii Bechcyc-Rudnickiej, po interesującym pokazie wyjątków z estetycznego widowiska „Swinia i królowa”, którego fabuła osnuta jest na bajce Andersena, a tło muzyczne na kompozycjach francuskich z XVII i XVIII w.

Nadto odbył się wieczór autorski młodej poetki lubelskiej Anny Kamińskiej. R.

T E A T R

JUBILEUSZ SOLSKIEGO

W styczniu r. b. mija siedemdziesiąta rocznica pierwszego wystąpienia na scenie teatralnej znakomitego artysty dramatycznego Ludwika Solskiego. Dotychczas raz tylko w dziejach teatru europejskiego zanotowano podobny jubileusz. Natomiast nigdy jeszcze w dziejach teatru światowego nie wydarzyło się, by artysta obchodzący 70-lecie działalności teatralnej ukazał się na scenie w dużej roli, wybranej przez siebie na jubileuszową premierę, której dotąd jeszcze nigdy nie grał.

Ludwik Solski wybrał na swój jubileusz niegrań dotąd przez niego rolę Ciaput-

kiewicza w „Grubych rybach” Bałuckiego. Przedstawienie jubileuszowe w teatrze im. Słowackiego w Krakowie odbędzie się w dniu 11 b. m. Przed premierą na scenie teatru nastąpi uroczystość z'ozienia holdu znakomitemu artyście przez przedstawicieli władz, delegację zreształ artystycznych, kolegów-aktorów i społeczeństwo Krakowa. Na powtórzenie premiery w dniu 12 bm. odbędą się również uroczystości ku czci jubilata, zorganizowane przez Związki Literatów i Artystów Scen Polskich.

Program uroczystości, ku czci zasłużonego artysty rozpocznie się jednak już na dwa dni przed właściwym jubileuszem.

W dniu 9 stycznia Zw. Zaw. Literatów Polskich w Krakowie organizuje wieczór literacki ku czci Solskiego, a w dniu 10 b. m. w teatrze im. J. Słowackiego odbędzie się odczyt dyr. Trzcinińskiego o życiu i pracy wielkiego artysty.

OTWARCIE TEATRU WROCŁAWSKIEGO

W niedzielę 6 b. m. odbyło się we Wrocławiu uroczyste otwarcie sezonu dramatycznego teatru miejskiego. Na inauguracyjną premierę wybrano komedię A. Fredry „Słuby Panięskie”.

LEON SCHILLER W WARSZAWIE

Znakomity reżyser i teatrolog Leon Schiller przybył do Warszawy wraz z częścią swego zespołu teatralnego. Zespół ten, tworzący Teatr Ludowy im. W. Bogusławskiego, występował po zakończeniu działań

M U Z Y K A

BOHATERSKA WARSZAWA W ORATORIUM ROSJANINA

Do Warszawy przybył wybitny kompozytor radziecki Włodzimierz Iwanikow, popularyzator polskiej muzyki ludowej w ZSRR.

Iwanikow zamierza zebrać u nas materiały muzyczne do swego Oratorium o Martyrologii Polskiej, które składać się będzie z 5-ciu części, a nad nimi ma dominować obraz bohaterskiej Warszawy. Ostatnia część kompozycji będzie poświęcona walce Wojska Polskiego i Armii Czerwonej o wyzwolenie stolicy polskiej. Teksty dla chóru i solistów napiszą poeci polscy, z którymi Iwanikow nawiąże obecnie kontakt.

Z Warszawy, gdzie zabawi czas pewien, Iwanikow uda się do Krakowa.

Pozostając na terenie ZSRR w bezpośrednim kontakcie z przebywającymi tam polskimi kompozytorami i muzykologami, Iwanikow w czasie wojny rozpoczął pracę nad polskim folklorem muzycznym. Szereg polskich pieśni ludowych w opracowaniu Iwanikowa wszedł do repertuaru znanych radzieckich śpiewaków i chórów.

Ponadto opracował dwa śpiewniki: „Dwanaście pieśni polskich dla dzieci” i „Dwanaście polskich pieśni”. Śpiewniki te wydane zostały przez Radzieckie Państwowe Wydawnictwo Muzyczne i Wydawnictwo Związku Kompozytorów Radzieckich.

KINOTEATRY W POLSCE.

W końcu roku 1945 czynnych było w Polsce 400 kin o łącznej ilości 162.000 miejsc. Brak dostatecznej ilości nowych filmów produkcji krajowej i zagranicznej zmuszał Centralny Zarząd Kin. do wyświetlania wszystkich zdalnych do użytku kopii filmów przedwojennych.

Stan ten uległ w ciągu roku znacznej poprawie dzięki sprowadzeniu do Polski 28 filmów pełnoprogramowych produkcji radzieckiej w 239 kopiach oraz 51 filmów krótkometrażowych w 180 kopiach.

Największym powodzeniem cieszyły się następujące filmy: 1. „Antoni Iwanowicz gniewa się”, komedia muzyczna, 2. „Teżca” wg powieści W. Wasilewskiej, 3. „Sekretarz Rejkomu” — film o partyzantce sowieckiej. Ze wznowień filmów zagranicz-

DO CZYTELNIKÓW „ZDROJU”

Ze wszystkich stron napływają do nas narzekania na trudności związane z otrzymywaniem „Zdroju” drogą kolportażu. Wynika to stąd, że niemal codziennie rozszerza się grono czytelników i sympatyków pisma, a ograniczenia papiernicze nie pozwalają na znaczniejsze zwiększenie nakładu. Dla-

wojennych w Niemczech w amerykańskiej strefie okupacyjnej, ostatnio zaś we Francji, Belgii i Holandii.

Z Schillerem przybyli artyści dramatyczni: Ludwik Tatarski, Jerzy Tatarkiewicz, Józef Wyszomirski, Zdzisław Szymański, Zdzisław Possart, Tadeusz Fijewski, Barbara Fijewska, Tadeusz Cygler, Władysław Staszewski, Zofia Wasielewa, Ludosław Kozłowski, Janina Janiczówna. Szczepan Barczyński i dekorator art. malarz Leon Michalski.

Leon Schiller jest w dobrej formie i pełen zapału do pracy. Posiada on szerokie plany, nastawione na organizację Wielkiego Teatru Ludowego i Społecznego. Interesuje się też żywo sprawą teatrów amatorskich, jako elementu rozwoju kultury mas.

Przybyli wraz z Schillerem artyści zostają skierowani do różnych teatrów w Polsce, a m. in. do Teatru Toruńskiego, gdzie zespół artystyczny nie jest jeszcze całkowicie skompletowany.

WIELKI KOMPOZYTOR FIŃSKI

Jan Sibelius ukończył w dniu 8 grudnia 80-ty rok życia. Z powodu złego stanu zdrowia nie mógł on wziąć udziału w koncercie, wydanym na jego cześć w Helsinkach.

Z DZIAŁALNOŚCI C. B. K.

Zorganizowane z końcem sierpnia ub. r. Centralne Biuro Koncertowe rozwinęło w przeciągu krótkiego okresu czasu ożywioną działalność idącą po linii upowszechnienia kultury muzycznej wśród najszerzych mas. Akcja koncertowa prowadzona na terenie całej Polski obejmuje 9 okręgów. Pomimo trudności technicznych i braku odpowiednich funduszy postulaty wysunięte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki znajdują stopniowo realizację. Okręgowe Biura Koncertowe powstałe w większych ośrodkach życia muzycznego objęły swoim zasięgiem również miasta powiatowe i mniejsze osady, urządzając szereg koncertów z udziałem wybitnych sił artystycznych. Na skutek zezwolenia Ministerstwa Oświaty Centralne Biuro Koncertowe zajęło się wprowadzeniem na teren szkół audycji muzycznych. Między innymi C. B. K. zorganizowało koncerty poświęcone twórczości Szopena w związku z uroczystościami przewiezienia serca Szopena do Kościoła św. Krzyża w Warszawie.

Ogółem w okresie blisko trzymiesięcznej działalności C. B. K. zorganizowano około 100 koncertów i około 60 audycji szkolnych. I. W.

F I L M

nych rekord irkwencji pobit „Wielki walc” reż. J. Duviviera.

FILM SZWAJCARSKI

Mimo trudności wojennych, które w ostatnich latach dały się odczuć także w Szwajcarii, wyprodukowano tam kilkanaście ciekawych filmów, wskazujących na znaczny rozwój kinematografii tego małego kraju.

Wyróżnić z nich należy filmy: „Gilberte de Courgenay” oparty na wydarzeniach z okresu pierwszej wojny światowej, „Wachmistrz Studer” wg powieści Fr. Glausera, „Listy Miłosne”, komedię „Dom Upiorów” i dramat historyczny „Landarmann Stauffacher” oraz film p. t. „Maria Luiza”, obrazujący przeżycia małej Francuski w czasie ostatniej wojny. Koleje losu czeskich uciekinierów są tematem obrazu „Strzelec Wipf”.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Miecz.” Podlasie — Wiersze nie do druku. Proszę wiele czytać i pracować nad sobą.

J. Sz. — Nie skorzystamy.

M. Z. w Sopotach — Damy odpowiedź niebawem.

K. R. w Radomiu — Dziękujemy. Numery zostały wysłane.

B. S. w Jarosławiu — Uwagi wykorzystamy.

J. G. w Zamościu — Chętnie zapoznamy się z artykułem omawiającym architekturę wnętrz.

A. P. w Łodzi — Zamówione numery wysłano. Czekamy na obiecane artykuły o estetyce budownictwa.

SPIS RZECZY:

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski — Niemcy bez maski.
Jarosław Iwaszkiewicz — Z nowych wierszy.
Michał Rusinek — Z barykady w dolinie głodu.
Dr Stefan Kawyn — Zeromski i etyka braterstwa Abramowskiego.
Dr Ryszard Wroczyński — Stulecie Uniwersytetu Ludowego.
Marla Bechcyc-Rudnicka — Wymowa grodów prastłowiańskich.
Dr Feliks Araszkiewicz — Martyrologia Zamojszczyzny.
Płotr Zyngiel — Ferdynand Ruszczyk.
Władysław Milczarek — Miodobory.
Jan Seweryński — Muzyka narodowa.
Jan Nagrabiecki — W sprawie poezji.
Helena Platta — Piosenka na ulicy.
Zygmunt Szczepański — O upowszechnieniu muzyki słów kilka.
Bibliografia o Prusie.
Dr J. Gajek — Tow. Ludoznawcze.
Kronika.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Cena numeru dwutyg. „Zdrój” 6 zł. Prenumerata wraz z opl. poczt.: miesięcznie 13 zł, kwartalnie 39 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje w imieniu zespołu: FRANCISZEK TWARDON.